

# ZEGAR





**Steve Shadehead**

# **ZEGAR**

Tom drugi

**Cień klepsydry**

Copyright © Steve Shadehead, 2026

Redakcja: Autor

Korekta: Autor

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Autor

Opracowanie graficzne okładki: Autor

Ilustracje: Autor z częściowym wykorzystaniem narzędzi AI

Wydanie: I

Miejsce i data wydania: Gdynia, 2026

ISBN 978-83-979457-2-2

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

|                                                  |     |
|--------------------------------------------------|-----|
| Wstęp.....                                       | 6   |
| Prolog.....                                      | 7   |
| Czwartek.....                                    | 9   |
| Porcelanowa królowa.....                         | 10  |
| Za zamkniętymi drzwiami.....                     | 41  |
| Piątek.....                                      | 80  |
| Cisza, która dzwoni.....                         | 81  |
| Drukowane kłamstwa.....                          | 101 |
| Część I Znać kształt cienia.....                 | 129 |
| Część II Język Wandothh.....                     | 151 |
| Cisza przed odpowiedzią.....                     | 173 |
| Sobota.....                                      | 185 |
| To nie znaczy. To jest.....                      | 186 |
| Anagram duszy.....                               | 205 |
| Część I Ochrona bogów.....                       | 219 |
| Część II Zejdź do mnie.....                      | 238 |
| Część I Kiedy dzwoni śmierć.....                 | 249 |
| Część II To jeszcze nie było przedstawienie..... | 260 |
| Część I Gdzie kończy się imię.....               | 284 |
| Część II Cena ratunku.....                       | 296 |
| Niedziela.....                                   | 305 |
| Ostatnia Iluzja.....                             | 306 |
| Poniedziałek.....                                | 319 |
| Ethan Vale.....                                  | 320 |
| Epilog.....                                      | 339 |
| Szpital. Noc.....                                | 339 |
| Mieszkanie. Wczesny ranek.....                   | 343 |
| Podziękowania.....                               | 346 |
| Posłowie.....                                    | 347 |

## Wstęp

Jeśli tu jesteś, to znaczy, że pierwszy tom nie zamknął się z jego ostatnią stroną. Niektóre pytania nie zostały zadane, inne padły zbyt późno, a echo tych najgorszych wciąż odbija się od ścian, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Są też takie, które nigdy nie powinny paść, bo samo ich wypowiedzenie uruchamia ciąg zdarzeń, których nie da się już cofnąć.

Nie oczekuj, że ta historia przyniesie Ci ulgę. To nie jest kontynuacja, która ma cokolwiek wyjaśniać, czy łagodzić ból. To studium konsekwencji. Prawda nie objawia się tutaj jako wyczekiwana odpowiedź, lecz jako miazdzący ciężar, który musisz teraz unieść.

Zegar wciąż mierzy czas z tą samą, nieludzką obojętnością. Nic go nie wzrusza. Jednak ty straciłeś już luksus niewiedzy. Teraz wiesz, że każda sekunda to decyzja, a każdy wybór to kolejna rysa na mechanizmie, którego nie da się już naprawić.

Możesz zamknąć oczy, możesz udawać, że nie widzisz trybów, które miazdzą twoją rzeczywistość, ale one nie przestaną pracować. One dopiero nabierają rozpędu.

## Prolog

Aż nagle... Na monitorze jedna z linii drga, przerywa rytm. Krótko, niemal niezauważalnie.

Potem *pik*.

Znowu *pik*. Tym razem inaczej. Inaczej brzmi. Inaczej boli.

*Pik... pik... pik...* jak zimne krople uderzające o szybę. Impuls rozbrzmiewa w pokoju, odbijając się echem od ścian.

Szybkic: **Wdech, wydech.**



## **CZWARTEK**

**Po raz drugi...**



**Porcelanowa królowa**

Stoimy przed tym przeklętym truchłem architektury. Cienie ścian wiją się w jakimś konwulsyjnym rytmie, jakby ten betonowy kloc sam siebie obserwował z obrzydzeniem. Na podwórzu każdy krok odbija się echem tak nienaturalnym, jakby te mury drwiły z naszej obecności, a każda szczelina wykrzywiała się w chorobliwym grymasie, szepcząc sekrety, których nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby słuchać. Napiecie wisi między nami jak spojrzenie, które potrafi cię sparaliżować, zanim w ogóle się zorientujesz, że nie jesteś sam.

Deszcz, który jeszcze przed chwilą miotał się z furją godną **Regan MacNeil** w kulminacyjnej scenie **Egzorcysty**, nagle odpuścił. Teraz to tylko żalonna, drwiąca mżawka, która z niemal perwersyjną delikatnością rozbija się o maski tych absurdalnie drogich samochodów, zaparkowanych przed wejściem jak ucieleśnienie złego smaku.

Tylko że tutaj nie ma opętania, nie ma żadnej wyższej, demonicznej siły, na którą można by zwalić winę za ten syf. Nie ma lewitujących łózek ani wymiotowania wodą święconą... jest tylko pospolita, ludzka zgnilizna, która śmierdzi gorzej niż siarka. To miejsce nie jest nawiedzone przez duchy, jest nawiedzone przez chciwość i brak skrupułów, a to demony, których nie wygonisz żadnym łacińskim belkotem.

Prawdziwe zło nie wykręca ci głowy o trzysta sześćdziesiąt stopni ani nie manifestuje się w spektakularnych sztuczkach. To ktoś, kto zdejmuje płaszcz i siada z tobą do kolacji, uśmiechając się dokładnie tak, jak tego potrzebujesz. To dłoń, która z namaszczeniem nalewa ci wino, i głos, który z niemal ojcowską troską sonduje twoje lęki, wyciągając je na światło dzienne pod pretekstem uzdrowienia. To osoba, która kolekcjonuje twoje słabości jak najrzadsze okazy motyli, tylko po to by później, w chwili twojej absolutnej bezbronności, uderzyć nimi tam, gdzie boli najbardziej. Robi to w momencie, gdy twoje zaufanie jest tak ślepe, że sam podajesz mu nóż do ręki. A kiedy orientujesz się, że coś jest nie tak, jest już za późno.

Największymi demonami nigdy nie były istoty z piekła, tylko ludzie. A my właśnie stajemy przed tymi drzwiami, świadomi tego, że za chwilę zasiądziemy do wieczerzy z potworami, które zamiast pazurów mają nienaganne maniery.

W momencie, gdy światło sączy się z wnętrza, to miejsce wygląda jeszcze gorzej niż wtedy, gdy tonęło w ciemności. Poświata odsłoniła betonowe ściany, popękane i zabrudzone przez lata, obnażając swoją nagą, szorstką hipokryzję, wydobywając z mroku ostatnie tchnienie dawnej świetności: resztki zdobień przy wejściu, pokruszone schody, które pamiętają lepsze czasy. Elewacja, choć miejscami jeszcze błyszczący od wilgoci, jest szorstka i poraniona, jak skóra kogoś, kto dawno temu przestał wierzyć w odkupienie i pogodził się z końcem. Wśród tych drzew i cieni budynek wygląda jak zepsuty ząb wystający z ziemi. Lśniący na krawędziach, zgniły w środku. Idealne miejsce.

Zatrzymujemy się przed drzwiami. Ogromne, masywne i bezczelnie obojętne. Ozdobne wzory, niegdyś starannie wykute, dziś ledwo przebijają się spod warstwy brudu i czasu. Nikt nie zadaje sobie trudu, by to pielęgnować.

Pukam. Nie słyszymy odpowiedzi. Nie ma żadnego dźwięku poza miarowym ociekaniem wody z rynien i szumem liści, jedynych świadków naszego idiotyzmu. Wszystko wokół wydaje się wyciszone, stłumione przez nieprzenikloną, obrzydliwą ciemność, która zdaje się wsysać każdy odgłos, zanim ten zdąży wybrzmieć.

Stoimy tam, przemoczeni i głupi, podczas gdy oni po drugiej stronie prawdopodobnie obserwują nas na monitorach, licytując się, który z nas pęknie pierwszy.

Już mam unieść dłoń ponownie, kiedy mechanizm zamka szczeka tak subtelnie, że brzmi to, jak przeładowanie broni. W szczelinie drzwi pojawia się pas ciepłego, żółtego światła, pachnącego wanilią i drogim tytoniem. Zaproszenie do piekła, w którym podają najlepszą whisky.

Drzwi zaczynają się uchylać bardziej. Wydają skrzypienie, które przypomina upadającą cegłę w ruinach. Ten budynek żyje, ale tylko po to, by walczyć ze swoją własną, powolną autodestrukcją.

Wtedy ich zauważam.

Dwóch ochroniarzy. Ich karki przechodzą bezpośrednio w czaszki, tworząc jedną, nieprzerwaną linię napiętych mięśni, które zdają się rozrywać szwy czarnych marynarek. Dłonie wielkości bochenków chleba, zrogowaciałe, zwisające wzdłuż bioder jak dwa młoty, gotowe w każdej sekundzie roztrzaskać wszystko, co stanie im na drodze. Twarze mają zakryte przez białe maski... zwykle, proste, ale zarazem absolutnie bez wyrazu, bez ciepła jak te z tych pieprzonych kart, jak te z obrazów Amslera.

Stoją tam jak **Sfinksy z Niekończącej się opowieści**, strzegące wejścia do **Południowej Wyroczni**. Tak samo nienaturalni, tak samo zastygli w kamiennym wyczekiwaniu. Monolity, nieruchome i wszechwidzące, przepuszczają tylko tych, w których nie wyczują strachu. Ich oczy pozostają wtedy zamknięte. Z kolei ci dwaj przede mną, moi osobiści strażnicy nicości, nie mrugają ani na moment. Ich białe maski są jak martwe ślepie posągów, widzące nie tyle moją twarz, ile cały lęk, który ściska mi żołądek. Czekam, aż ich wzrok wypali we mnie dziurę, aż osunę się na miejscu, uznany za niegodnego przekroczenia granicy tego umierającego królestwa.

W tym jednym momencie wszyscy stoimy nieruchomo. Nasze oczy spotykają się w milczeniu. Chłodne, beznamietne, a jednak przepelnione grozą, której nie da się zignorować. Pustka ogarnia przestrzeń między nami jak przezroczysty mur. Jeden z ochroniarzy powoli przesuwają dłoń wzdłuż biodra, odsłaniając skrawek broni przy pasie. Nie robi nic więcej. Mimo to czuję, jakby każda cząstka powietrza wokół pulsowała ich pewnością siebie. Serce bije mi w piersi w rytmie, który powoli wypełnia całe to miejsce.

Wyciągam zaproszenie. Palce drżą, choć ciało rzadko słucha rozsądku. To nie jest zwykły niepokój. To jest ten rodzaj strachu, który czujesz, stojąc na krawędzi z zakrytymi oczami i związanymi rękoma, wiedząc, że ktoś zaraz pchnie cię w otchłań bez dna.

Podchodzę bliżej, mimo że każdy mięsień, każdy dreszcz każe mi spieszyć w deszcz, byle dalej od tego zakłamanego miejsca.

Ochroniarz nawet nie zerka na kopertę. Dla niego to zaproszenie jest warte tyle, co papier toaletowy, i to nawet nie ten wielowarstwowy.

Po chwili kiwa głową w stronę drugiego. Ten sięga po... maski. Tak samo białe, tak samo mdłe. Aseptyczne. Podaje mi ten kawałek plastiku, jakby wręczał mi wyrok owinięty w celofan. Biel maski aż bije po oczach. To nie jest zaproszenie do zabawy. To kurwa kaganiec na twarz, żebyśmy przypadkiem nie pobrudzili ich idealnego świata swoim śmierdzącym strachem, gdy wszystko się zaczyna.

Maska jest pozbawiona jakiegokolwiek miękkości, jakby sama w sobie ważyła złe intencje. Trzymam ją przez chwilę, czując, jak resztki mojej wolności wyparowują, zostawiając mnie z czymś, co jest obce, nieodwracalne. Ta maska nie niesie sensu. Obiecuje tylko upadek, ale przynajmniej w anonimowości.

Przykładam ją do twarzy. Przylega idealnie, jak drugi garnitur szyty na miarę, jak nowa skóra, która nie rumieni się ze wstydu i nie okazuje strachu. Czuję jej twardość na policzkach, chłód na nosie. Plastik ścisną skórę, każdy ruch ust czy brwi jest ograniczony. To nie jest przebranie. To więzienie, które przykleja mnie do twarzy i nie pozwala mi na żaden fałsz.

W odpowiedzi na nasze oczekiwanie, w drzwiach korytarza pojawia się kobieta, smukła i pewna siebie. Delikatnie unosi rękę, nakazując nam iść za nią. To niezaproszenie. To komenda pozbawiona jakiegokolwiek rodzaju ciepła.

Idziemy za nią bez słowa jak bydło, które zapomniało, że kiedyś miało głos i potrafiło ryczeć. Kątem oka zerkam na Deana. Wygląda tak samo, jak ja. Jak kolejny manekin na tej chorej wystawie.

Korytarz nie ma końca. Mrok tutaj nie tylko pożera światło, on je rozszarpuje, przeżuwa i wypływa jako pustkę, która smakuje oddechem setek zapomnianych ludzi. Czuję, jak ta ciemność oblepia mi płuca, jak bada moją odporność, zanim ostatecznie mnie pochłonie. Jesteśmy tu tylko po to, by nasycić głód tego miejsca. Przystawka podana w białych maskach, rzucona przed danie główne, która jeszcze nie wie, że zaraz zostanie skonsumowana.

Z każdym kolejnym krokiem powietrze gryzie mi gardło, a na języku czuję posmak soli, jakbym zakrztusił się morską wodą. Smak jest obcy i ostry, niepokojący, wdzierając się do środka jak zapowiedź nieuniknionego bólu. Każdy oddech przypomina mi przypływ, który nie pyta o zgodę, zostawiając mnie duszącym się w wyobrażeniu zagrożenia. Ciało reaguje na coś, czego nigdy nie doświadczyłem, a jednak odczuwam to całym sobą. Woda jest wszędzie i nigdzie, słona i zimna w wyobraźni, a jej ciężar ciąży na moich płucach, zmuszając serce do przyspieszonego rytmu. To nie jest realna fala, to lęk przetworzony na smak, na cierpienie i wstrząs. Każdy krok sprawia, że wyobrażenie staje się bardziej namacalne, bardziej bolesne, jakby już mnie połknęło. Tylko że ja nigdy nie pływałem, więc skąd mogę znać to uczucie?

Na końcu czekają mosiężne drzwi. Wysokie, solidne, pokryte wzorami, które w tym półmroku zdają się pulsować. Złudzenie? Może, ale te rzeźbienia naprawdę zdają się drgać jak mięśnie pod cienką skórą potwora, który właśnie bierze głęboki wdech. Nie chcę wiedzieć, co jest po drugiej stronie, ale moje nogi i tak niosą mnie dalej.

Kobieta nie zwalnia tempa. Jej ruchy są irytująco płynne. Ona nie idzie. Ona płynie przez tę przestrzeń z arogancją kogoś, kto zna tu każdy brudny kąt lepiej niż własne odbicie w lustrze.

– Gotowi? – rzuca przez ramię, ale to nie jest pytanie. Nie czeka na odpowiedź, bo nasza gotowość gównu ją obchodzi.

Popycha drzwi, które ustępują bez oporu, jakby tylko wyczekiwały tego momentu.

Pierwsze uderza światło. Jest bladożółte, mimo to nienaturalnie wyostrzone. Spływa z wysoko zawieszonych kryształowych lamp, które mienia się w drobnych refleksach, tworząc wiry blasku i cienia, jakby przestrzeń sama igrała z naszymi oczami. Rozświećta każdą tchórzliwą myśl, której próbowałem się trzymać na korytarzu.

Zanim wzrok przywyknie do blasku, dopada mnie zapach. Pod warstwą drogich perfum i aromatu palonego tytoniu czai się coś mdłego. To zapach rozgrzanego mięsa albo krwi, która zbyt długo stała w cieple, wymieszana z cierpkim winem. Ten odór nie pozostawia złudzeń: *nie jesteśmy na eleganckim bankiecie. Jesteśmy w rzeźni, która tylko go udaje.*

Sala jest ogromna, ale sufit ginie w mroku tak głębokim, jakby nad naszymi głowami nie było dachu, tylko nieskończona czarna dziura. Ściany odbijają światło w nieregularnych, zimnych refleksach. Podłoga pokryta jest ciemnym, popękanym marmurem, ale jednak polyskuje w miejscach, gdzie jeszcze zachował się wosk... lub krew. Każdy krok odbija się echem tak stłumionym, jakby sama przestrzeń nas nasluchiwała.

Na ścianach wiszą obrazy. Niektóre klasyczne, pełne harmonii, spokojnych scen, inne... one manifestują chorobę psychiczną, przybitą do ścian na całą wieczność. Kolory zlewają się ze sobą w groteskową mozaikę. Czerwienie krwawia w żółcie, błękity drżą jak lodowata woda, a czerń spływa po krawędziach ram niczym smolisty cień, wciągając wzrok w bezdenną otchłań. Zdaje się, że nie tylko Phelpton kupował obrazy Sinéad.

Przypominam sobie słowa Amslera i to, jak mówił, że to jest jak

wejście w inny wymiar. Nie mylił się. Bogactwo wewnątrz z jednoczesnym rozpadem poza nim. Jak pałac wyrastający z wysypiska, który udaje ósmy cud świata. Każdy jego błysk jest zapożyczony, każdy oddech karmiony cudzym rozkładem. Im bardziej lśni, tym więcej wokół musi zgnieć.

Są i oni... Gospodarze tego nedorzecznego widowiska, rozproszeni po sali, która swoim przepychem wręcz rani oczy. Siedzą tam, wycięci z rzeczywistości, odurzeni własną nietyknością, którą kupili za cenę, o jakiej nam się nawet nie śniło. Wszyscy w maskach. Co do jednego. Widok tych nieruchomych twarzy, odbijających blask kryształowych żyrandoli, jest jak uderzenie w twarz. Cały ten obraz tworzy jednolity front absolutnej, lodowatej obojętności.

Ich dłonie, wypiełgnowane i nienaturalnie spokojne, jakby nigdy nie zaznały ciężaru pracy, a jedynie chłodu złota i gładkości jedwabiu. Patrzą na nas, a przynajmniej czują ich wzrok wiercący dziury w naszych maskach, z pozycji istot, które już dawno przestały uznawać istnienie jakichkolwiek granic, poza brzegiem własnego portfela.

Im dłużej tu stoję, tym bardziej wyczuwam mieszanek perfum, które mają za zadanie zdusić jakikolwiek ślad prawdy o tym, co dzieje się za tymi murami.

To nie jest zwykłe spotkanie, to audycja u potworów, które nauczyły się ukrywać swój głód pod maską nienagannej etykiety. Każdy ich gest, każde lekkie nachylenie głowy ma za zadanie wywołać paraliż lęku u każdego, kto ośmielił się tu wejść bez ich zaproszenia.

Stojąc tam, mam wrażenie, że jesteśmy przekłamaniem w ich idealnie zaprojektowanym świecie, jak brudny ślad na marmurowej posadzce, który zaraz zostanie z należytą starannością usunięty.

Maski... Niektóre są proste, białe, jak nasze. Czyste, bezosobowe, udające niewinność, tak jak my beczelnie udajemy, że do nich pasujemy. Inne? Są przerysowane do granic absurdu. Złocone, z długimi,

zakrzywionymi dziobami, które przypominają nedorzeczny, zbyt szeroki uśmiech. Zbyt pewny siebie. Każda z nich drwi ze mnie swoją sztucznością. Tworzą niemą hierarchię. Te z piórami i szlachetnymi kamieniami zdają się ważyć więcej niż reszta. Ich obecność to oświadczenie. To symbole statusu, stopnie wtajemniczenia, albo po prostu role do odegrania w tym dusznym teatrze pozorów, gdzie każdy jest aktorem i widzem jednocześnie.

Nie widzę ich twarzy, ale wiem, że patrzą. Ich spojrzenia ślizgają się po nas. Czuję je jak dotyk chłodnych, wilgotnych palców przesuwających się po mnie. Obserwują. Oceniają. Czekają.

Powietrze wypełniają dźwięki, które wiją się między nami jak robactwo pod murem. Rwane, kalekie, ginące daleko w morzu sztuczności. To jest szept **Maskarady**. Tej wielkiej, nienasyconej matki wszystkich kłamstw. To syk formy, która pożarła treść, rytuał, gdzie milczenie jest jedyną dopuszczalną modlitwą. Jest wystarczająco cichy, bym zapomniał własne imię. Jednocześnie wystarczająco namacalny, by poczuć, że moja twarz to tylko rekwizyt pod tą pożyczoną maską.

W tej ciszy każde słowo, które nie pada, buduje ścianę między tym, kim jesteś, a tym, co musisz udawać. Tutaj niedopowiedzenie jest najskuteczniejszym narzędziem tortur, bo w tym świecie **Maskarady** nie zabija się ciosem w serce. Zabija się wykluczeniem z przedstawienia, pozostawiając cię nagim w świetle prawdy, której nikt nie chce znać.

Skóra pod ubraniem drży mimowolnie, próbuję się cofnąć, ukryć. Tylko że tu nie ma gdzie. Jesteśmy zwierzyną w klatce, a oni właśnie zaczynają ucztę.

Dean stoi nieruchomo, przypominając zastygły posąg, ale znam go zbyt dobrze. Napina mięśnie i prostuje plecy. To cicha fala adrenaliny, niewidzialna, ale obecna. Nie musi nic mówić. Czuję to samo: *między nami panuje porozumienie, które nie potrzebuje słów. Porozumienie, że oto wpadliśmy między wrony. Na własne żądanie.*

Coś się zmieniło. Kobieta... nie wiem, kiedy zniknęła. Rozpłynęła się w dusznych oparach sali, jakby nigdy jej tu nie było, jak iluzja, która właśnie dobiegła końca. Może była tylko pionkiem. Jedną z tych figur na planszy, którą można bezdźwięcznie zdjąć, kiedy przestanie być użyteczna. A może to był celowy ruch. Przemyślany. Wykonany tuż przed moim nosem, a jednak całkowicie wymykający się uwadze. Perfekcyjna manipulacja.

Jeden z zamaskowanych unosi kieliszek. Na pierwszy rzut oka to niewinny toast, ale nic w tym goście nie przypomina świętowania. To nie jest zwykła impreza ani tani bal przebierańców. To rytuał, dla którego nie mam jeszcze nazwy. Tu każdy ruch, każda pauza, każdy kontakt wzrokowy ma swoją wagę. To labirynt, z którego nie ma wyjścia, bo drzwi są tylko złośliwym złudzeniem, gdzie wszystko ma znaczenie, zwłaszcza to, co zostało przemilczane.

Czuję jego obślizgłe spojrzenie, mimo że skrywa je maska. Jest zbyt przenikliwe, zbyt... bliskie. On nie rejestruje faktów, on nie analizuje. On mnie dotyka. To spojrzenie przylega jak cień, wnika przez skórę i zostawia brudny ślad gdzieś głęboko, w miejscu, do którego nikt nie powinien mieć dostępu.

Dean zaciska dłoń w pięść. Wolno, ostrożnie, jakby liczył każde drgnienie mięśnia. Po chwili rozluźnia palce, ale to tylko fasada. Wewnątrz niego wrze, czuję to. Nie pozwoli im zajrzeć głębiej. Nie pokaże im nic więcej. Ani strachu, ani buntu. Choć to, co się tu dzieje, wykracza poza granice zdrowego rozsądku. Jesteśmy w teatrze, który gra sam dla siebie, bez scenariusza i bez publiczności, z jedną tylko, ukrytą intencją, która powoli zaciska nam się na gardłach.

Instynkt podpowiada, żeby być czujnym.

Cisza. Nie ta muzealna, pełna szacunku. Ta jest zbyt ciasna. Zawieszona, czekająca na coś, co nadchodzi z ciemności. Czy czekali... na nas? Na świeży lęk, którym mogliby się pożywić?

Dopiero teraz dostrzegam detale. Symbole. Znaki. Cała ta przestrzeń tętni zakodowanym komunikatem, którego nie chcę odczytać. Dean porusza dłonią. Ledwie zauważalnie, gestem, który słyszą tylko moje oczy. Wskazuje na filar przy wejściu. Runa.

To nie jest ozdoba ani kaprys dekoratora. To ostrzeżenie. Ma w sobie brutalną symetrię, która nie daje się objąć jednym spojrzeniem.

Krawędzie przecinają się w nienaturalny sposób, celowo zaprzeczając geometrii, której moje oczy bezskutecznie szukają. Może to brama? Jest niewielka, może nie większa niż dłoń, ale jej linie tworzą ściśle symetryczną ramkę z wąskim pionowym otworem pośrodku. Każda linia prowadzi wzrok do środka, jakby ten znak sam wskazywał przejście. Nie jest ozdobna. Krawędzie są ostre, przecięcia pewne siebie, a każda linia wskazuje kierunek, w którym można wejść, nawet jeśli sama runa milczy o tym, czy z tamtej strony istnieje jakakolwiek droga powrotna.

Może to zaklęcie? Jej obecność zmienia gramaturę powietrza. Nagle każdy oddech staje się wysiłkiem. Nie znam tego znaku, ale coś we mnie, na poziomie komórkowym, już zaczęło wycieć ze strachu.

Skupiam się. Chcę zapamiętać każdy szczegół, każdą linię i każdą kroplę cienia wokół niej. Muszę zapisać ten kształt w głowie jak pieśń, której nie wolno nucić, jeśli chce się przeżyć.

Z każdym krokiem, z każdym nerwowym spojrzeniem wymienionym z Deanem, dociera do mnie, że ostrożność to za mało. Ta przestrzeń nie jest martwa, ona wyczuwa niepewność, jak drapieżnik wyczuwa krew. Musimy przestać być turystami w tym piekle. Jeśli chcemy stąd wyjść, musimy udawać, że sami rozdajemy karty.

Gracze, nie goście. Kat, nie ofiara.

Krok. Kolejny. I wtedy wyrasta przed nami on. Nie przyszedł, nie podszedł. On po prostu zmaterializował się w miejscu, które sekundę temu było puste, jakby wypłuła go sama plugawa ciemność.

Zatrzymuje nas samym swoim bytem. Nie musi unosić ręki. Jest jak cień, który nagle zyskał własną wolę i postanowił nas osądzić.

Maska. Czarna, surowa. Wygląda, jakby została wykuta w gniewie, a nie wyrzeźbiona dla ozdoby. Nie miała być piękna. Miała być skuteczna. I jest. Nie służy do ukrywania twarzy. Służy do wyrywania prawdy z innych. Przy kimś takim zapominasz, jakie kłamstwa przygotowałeś. Odsłaniasz się, zanim zdążysz pomyśleć.

– Nowe maski. – To nie jest pytanie. Ton nie jest nieprzyjazny. Jest czymś gorszym, jest absolutnie wyprany z litości. – Jesteście tu pierwszy raz – dodaje, a ja mam wrażenie, że widzi przez moją skórę.

– Poznałeś to mimo masek? – pytam. Mój głos brzmi obco, jakbym próbował przekonać samego siebie, że jeszcze tu rządzę, a moja pewność siebie jest żalosna. To tylko tania imitacja, drżąca barykada zbudowana z piasku na plaży, czekająca na pierwszy przypływ. Pierwszą falę upokorzenia.

Tą falą jest milczenie. To jego ulubiona broń. Jego spojrzenie przesuwają się po naszych maskach, z obrzydliwą wręcz czułością, jak karaluch przeczesujący każdy ukryty kąt, który znajdzie. Napięcie między nami krzepnie, zamieniając się w próbę, której nie sposób przetrwać.

– Maski nie są w stanie ukryć wszystkiego – cedzi w końcu, a jego głos schodzi do szeptu, który smakuje jak echo słów, które nigdy nie powinny paść. – To miejsce nie chce waszej obecności. Ono łaknie... zrozumienia. Żeruje na nim.

Jego oczy, ukryte w czarnych oczodołach, badają nas. Patrzy jak ktoś, kto widział zbyt wiele, żeby ufać pozorom. Każde drgnięcie między nami, każde mrugnięcie traktuje jak dane do analizy.

– A wy? Co rozumiecie? Poza tym, że się boicie?

Czuję, jak pot spływa mi po karku. Muszę coś rzucić, cokolwiek, byle nie pokazać mu gardła.

– Sztuka wymaga ciszy – rzucam beznamietnie, choć w środku

wszystko we mnie wrzeszczy.

Czarna maska przekrzywia głowę. Czekal na tę odpowiedź, jak kobra czeka na ciepło myszy. Czy on się właśnie ze mnie śmieje? Czy pod tą parszywą powłoką wykrzywia usta w pogardzie?

– Cisza? – powtarza, a to słowo wibruje w powietrzu jak ostrzeżenie. – Cisza to luksus dla tych, którzy nie mają nic do powiedzenia.

Słowa opadają na nas jak popiół. Ciche i lekkie, ale po czasie czujesz, że dławią każdy oddech.

– A może to po prostu wybór? – Dean w końcu pęka. Głos ma irytująco spokojny, jakbyśmy pili drinka w barze, a nie stali przed personifikacją naszej własnej zguby. Opiera się o barierkę z taką nonszalancją, że aż robi mi się niedobrze. To gest czysto aktorski, wyważony do milimetra. Mimo to, na moment napięcie się rozluźnia. Pojawia się drobna szczelina w murze, który nas otacza, ale w tym miejscu każda chwila ulgi jest tylko grą wstępną do czegoś znacznie gorszego.

Czarna maska mierzy Deana wzrokiem. To nie jest spojrzenie. To sekcja zwłok przeprowadzona na żywym organizmie. W końcu kiwa nieznacznie głową. Minimalnie, jakby uznał, że materiał badawczy jest przynajmniej wart jego fatygi.

– Może – mówi to, robiąc krok w naszą stronę. Powietrze wokół niego jest stęchłe od arogancji. – Widzicie... sztuka tutaj to nie tylko te martwe płótna. To nie jest kolejna galeria dla znudzonych przybyszów, którzy nigdy nie poczuli prawdziwej siły obrazu.

Jego wzrok znów przeczesuje moją postawę. Szuka miejsc, w których wystarczy mocniej nacisnąć, żeby cała zasłona się rozsypała.

– Ale proces tworzenia... – zawiesza głos, a w pustych oczodołach błyska coś chorobliwego. – Zawsze karmi się poświęceniem. Zawsze wymaga krwi, ale coś już o tym wiecie.

Nagle przed oczami mam obraz atelier, a rana przy obojczyku nabrzmiwa, pulsując bólem.

Słowo *poświęcenie* wybrzmiewa i nie znika. Ono zawisa między nami, wibrując jak dźwięk zbyt wysoko nastrojonego instrumentu, który nie tyle, ile gra, co wywołuje ból gdzieś pod mostkiem.

Milczę, ale nie z braku słów, ale dlatego, że w tej grze każda odpowiedź jest pułapką.

– Sztuka... – przeciąga to słowo, niemal je liżąc, smakując każdą literę z perwersyjną satysfakcją. – Powiedzcie mi, czym ona jest dla was. Poza tym, że ładnie wygląda na ścianach.

To nie jest pytanie. To nóż przystawiony do gardła. Nie mogę pozwolić, by ten psychol dyktował warunki.

– To doświadczenie – mówię, starając się, by mój głos brzmiał jak góra lodowa, która powaliła **Titanica**. – Coś, co wstrząsa i zostawia blizny. Coś, co zmienia cię w kogoś, kogo nie poznajesz w lustrze.

Kiwa głową. Uznaje moją próbę, ale nie zamierza popuścić smyczy.

– A ból? – pyta nagle, a jego głos, wcześniej gładki, teraz twardnieje i zaciska się jak szpon na gałęzi. To uścisk, który nie pozwala na żaden zbędny ruch. Każde szarpnięcie tylko głębiej wbija ostrza w korę.

Dean lekko pochyla głowę. Znam ten ruch, to jest jego wewnętrzne: *koles', serio?* Maskuje narastającą chęć wbicia pięści w środek tej czarnej plugawej gęby.

– Czasem ból to jedyna uczciwa cena – odpowiadam. – A prawda nigdy nie jest darmowa, zwłaszcza w takim miejscu jak to.

– Ciekawe.

Patrzy na nas jeszcze przez ułamek sekundy, po czym pochyla się bliżej. Nie gwałtownie, ale z taką wilczą zwinnością, że odruchowo napinam ramiona, przygotowany na ugryzienie.

– Sztuka... – szepcze prosto w moją maskę. – To władza. To absolutna kontrola nad cudzą percepcją. To wpływ, który nie kończy się po wyjściu z sali. To my ustalamy reguły estetyki bólu. My nim rządzymy. My go rozumiemy, podczas gdy inni tylko go czują.

Aura, którą roztacza, jest niemal namacalna. To nie jest tylko ton jego głosu. To ten rodzaj mroku, który osiada na barkach, następnie wnika wewnątrz ciebie, tak głęboko, sprawiając, że zaczynasz mieć trudności z oddychaniem.

– A wy? Macie w sobie dość odwagi, by naprawdę tworzyć, czy tylko udajecie, że patrzycie?

On nie pyta. On nas prowokuje, by sprawdzić, jak głęboko sięgają nasze nerwy. To kolejna warstwa tej obrzydliwej gry. Mimo to, gramy dalej, choć zasady zmieniają się z każdym jego oddechem.

Dean splata dłonie na barierce. Nie wiem, jak to robi, ale wygląda, jakby z lekkim znużeniem komentował wystawę w niszowej galerii przy **Auguststraße** w **Berlinie**, a nie stał na krawędzi otchłani.

– Sztuka to kontrola, tak? – Dean wypływa słowa z lekkim uśmiechem ukrytym pod maską. – Zabawne. Zawsze myślałem, że naprawdę wielka sztuka to ta, która... wymyka się spod kontroli i zaczyna niszczyć swojego twórcę.

Czarna maska zastyga. Ta odpowiedź jest jak uklucie drobną szpilką, w miejsce którego nie zdążył osłonić. Kątem oka widzę, jak jego palce lekko drgają. Subtelny znak, że Dean trafił w czuły punkt.

– Chaos jest tylko narzędziem – odpowiada w końcu, siłąc się na spokój. – Ale tylko w rękach kogoś, kto nie boi się nim ubrudzić.

– Czyżby? – pytam, czując, że kolejny ruch jest nasz. – Więc **Lux Aeterna** to dla was sztuka, czy tylko kolejne brudne narzędzie?

Pauza, która zapada po tych słowach, jest tak miazdząca, że niemal słyszę, jak pękają fundamenty tego budynku.

– To jedno i drugie – rzuca czarna maska, a jego głos brzmi jak zamykające się wieko trumny. – Ale tylko nieliczni mają zaszczyt, by to pojąć. Reszta to tylko nawóz dla tej idei.

Za jego plecami tłum sunie między płótnami z irytującą, niehumanitarną gładkością. Szepczą, zerkają na nas z bezpiecznej odległości, ale nikt

nie ma odwagi podejść bliżej. Instynkt stadny? A może po prostu czują odór nadchodzącej katastrofy. Muzyka, jeśli w ogóle można to tak nazwać, sączy się z instrumentów. Te głębokie, niskie tony drżą pod skórą, tworząc rezonans, który nie daje o sobie zapomnieć. To nie jest tylko melodia. To puls tego chorego miejsca, odliczający czas do momentu, w którym to wszystko pierdolnie.

– Więc? – pyta nieznajomy, przybliżając się tak bardzo, że czuje chłód brylujący wokół jego maski. – Przyszliście tu tylko patrzeć? Czy jesteście gotowi... tworzyć?

Dean nie spuszcza wzroku, choć widzę, jak w jego postawie zachodzi zmiana. Napięcie przesuwają się w nim jak cień, który właśnie zmienił kierunek z obronnego na drapieżny.

– Wszystko w swoim czasie – mówi cicho, z taką dawką spokoju, że aż mnie to przeraża. – Wielkie dzieła wymagają... odpowiedniego momentu. I odpowiedniej ofiary.

Czarna maska trwa przez chwilę w bezruchu, jakby smakował to kłamstwo na języku.

– Dobrze – mówi. – Wkrótce się przekonamy.

Odwraca się i znika w tłumie. Nie odchodzi. On po prostu przestaje tam być, jak cień, który wchłonęła większa ciemność.

Patrzę na Deana, szukając w jego oczach czegokolwiek, co uciszyłoby ten narastający w moich trzewiach krzyk. Napięcie oplata mnie jak pętla, która zaciska się z każdym moim oddechem.

– Mam złe przeczucia – wyrzucam z siebie, a mój głos brzmi żałośnie w tej ogromnej sali.

– Kurwa, dopiero teraz? – prychna Dean, nie odrywając wzroku od masek, które nas osaczają. – Stary... my już dawno tonimy w bagnie. Teraz czekamy tylko, aż dno wybije nam zęby.

Jeśli ma rację... to co teraz? Jak wyjść z pokoju, w którym drzwi od samego początku były tylko namalowane? Albo nigdy ich nie było?

W końcu, po co komu drzwi w pokoju bez klamek?

Jedna z masek w tłumie, kobieca, gładka jak woskowy odlew trupa, z ustami w kolorze świeżej, tętniczej krwi, gapi się w moją stronę. To wystarczy, bym poczuł, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Mrugam. Ona wciąż tam jest. Uświadamiam sobie, że to spojrzenie będzie mnie budzić w nocy, w tej martwej ciszy, której nie da się niczym wypełnić.

Nagle czuję go, zanim zobaczę go ponownie. Jego obecność przebijają się przez tłum jak gęsta, trująca mgła, niosąca ze sobą *spokój*, który gasi wszelkie rozmowy. Ludzie odwracają wzrok, chowając się za maskami, podświadomie wiedząc, że patrzenie na to, co nadchodzi, to wyrok w czystej postaci.

Czarna maska wraca. Tym razem nie bawi się w podchody. Ma za sobą czterech mężczyzn. Ustawieni jak figury na szachownicy, gotowi do ruchu. Ich kroki są niesłyszalne, ale ich obecność... ona nie pozostawia złudzeń. To nie są goście. To ludzie, którzy sprawiają, że inni znikają. Szybko, cicho, bez śladu.

– Panowie – mówi, a w jego głosie nie ma już ciekawości. Jest czysta, naga władza. – Właściciel chciałby zamienić z wami kilka słów.

To nie jest zaproszenie. To nie jest też propozycja. To rozkaz owinięty w tanią uprzejmość, jak zardzewiały nóż zawinięty w aksamitną chusteczkę. Nie mamy wyboru. Im więcej czasu spędzamy w tym miejscu, tym wyraźniej dociera do mnie ta upokarzająca prawda: *każdy nasz krok został już dawno zapisany w cudzym scenariuszu*. Jesteśmy tylko aktorami, którzy spóźnili się na próbę i musimy teraz grać bez przygotowania.

Dean kiwa głową, a ja wzdycham cicho, zmuszając mięśnie do ruchu. Moje ciało reaguje automatycznie, jakby instynkt przetrwania uznał, że opór nie ma już najmniejszego sensu.

Ruszamy za nimi. Korytarze wydłużają się z każdym krokiem, jakby budynek pęczył, by odciąć nam drogę powrotną. Mają w sobie tę

chorą energię co sam hotel **Overlook**, w którym oszalał **Jack Torrance**. Światło jest dyskretne, wręcz wstydlive, jakby nie chciało pokazać krwi, która zaraz wyleje się z windy. Ostatecznie nie ma żadnej windy, tylko drzwi. Są niepozorne. Zbyt proste, by mogły być zwyczajne. To właśnie ta banalność wywołuje dreszcz na karku.

Czarna maska otwiera je i gestem, w którym nie ma ani krzty gościnności, zaprasza nas do środka. Pokój jest większy, niż się spodziewałem, ale brak okien sprawia, że przestrzeń dusi. To klatka, tylko lepiej umeblowana. Ciemne ściany pożerają światło, zamiast je odbijać. Ciepła poświata sączy się ze zdobionych lamp, rzucając na sufit długie, drżące cienie, które żyją własnym, frywolnym rytmem, poruszając się na przekór prawom fizyki i źródłom światła. Jest w ich ruchach coś hipnotyzującego, coś, co każe mi patrzeć, dopóki nie zapomnę, jak się oddycha. To pułapka na oczy.

Bar w kącie błyszczy drogimi etykietami, ale żaden z nas nie patrzy w ich stronę. W tym miejscu alkohol to nie luksus. Skórzane kanapy ustawione w półokręgu czekają na spektakl albo na egzekucję. Między nimi stolik pokryty cienką, ironiczną warstwą kurzu, na którym lśnią kryształowe szklanki. Ten kontrast między zapomnieniem a doskonałością jest obrzydliwy. Czas tu nie płynie, on tu zdechl, a cała przestrzeń to tylko nieruchoma scenografia przygotowana na nasze wejście. A potem je widzę...

Postacie na płótnach są zdeformowane, pozbawione twarzy, ich ciała wykręcone w nienaturalnych pozach, jakby coś drapieżnego próbowało wyrwać się z ich wnętrza przez skórę. Ręce za długie, stawy złamane w miejscach, o których anatomia woli milczeć. A mimo to, te potworności żyją. To coś pomiędzy ekstatycznym tańcem a agonialną konwulsją. Rozpoznaję ten styl od razu. To brutalna amputacja rzeczywistości. Sinéad nie malowała świata. Ona wyrывała z niego fragmenty, których nikt nie chce oglądać, i przybiła je do płótna.

Każdy obraz to bolesny strzęp snu zapisanego krótką sekundę przed przebudzeniem w zimnym pocie. Rozmazany, nielogiczny, nasycony cierpieniem, które nie szuka współczucia. Stoimy w epicentrum czyjegoś koszmaru, a drzwi za nami właśnie przestały istnieć.

Czterech mężczyzn rozchodzi się po kątach pokoju, wtapiając się w cienie tak skutecznie, jakby mrok był ich naturalnym środowiskiem, a ludzka postać jedynie przebraniem. Są czujni i nieludzko cierpliwi. Ich dłonie spoczywają w gotowości. To ręce, o których wolisz nie wiedzieć, co potrafią zrobić z ludzkim ciałem w absolutnej ciszy.

Czarna maska rozsiada się w skórzanym fotelu, który stęka pod nim jak stare, próchniejące drewno. Rozciąga nogi w geście swobodnej, obrzydliwej dominacji. Ten pokój należy do niego. On jest jego głosem. Przygląda się nam jak łowca, który obserwuje zdobycz, jeszcze nieświadomą, że sidła zacisnęły się już dawno temu. A to spojrzenie ma chłodne, praktyczne i doszczętnie jałowe. Ocenia, ile czasu zajmie nam pęknięcie. Nie z ciekawości, lecz z nudy doświadczonego oprawcy. Przez ułamek sekundy gładzi opuszkami palców krawędź stołu, jakby odliczał sekundy, które jeszcze łaskawie nam zostawił.

– Czego się napijecie? – pyta, głosem nasyconym fałszywością.

– Zależy, co podajecie – odpowiadam, kurczowo trzymając się namiastki złudzenia, że wciąż mam coś do powiedzenia.

– Coś, co pasuje do okazji.

*Pstryka* palcami. Dźwięk tnie powietrze jak pojedyncze uderzenie serca w próżni. Barman, milczący jak automat, nalewa ciemny, gęsty płyn do kryształowych szklanek. Jego ruchy są tak wydarte z emocji, że nie jestem pewien, czy pod skórą płynie krew, czy olej hydrauliczny.

Czarna maska nie sięga po zwykłe szkło. Z dystansu widzę tylko błysk, ale wystarczy mrugnięcie, by iluzja pękła. To nie szklanka. To kielich. Ciężki, drapieźny, trzymany jak trofeum wyrwane z rąk umierającego króla. Wygląda jak artefakt z innego świata.

**Święty Graal**, który zamiast zbawienia niesie w sobie tylko wyrok. Przedmiot, który ma w sobie obietnicę czegoś więcej, czegoś, czego zwykła szklanka nigdy by nie zrozumiała. To coś, co powinno być zamknięte w sejfie pod strażą armii, a on obraca to w palcach z taką lekkością, jakby trzymał czyjeś wyrwane serce. Tylko że to coś, co go wyróżnia, co każe patrzeć na niego z pełnym uznaniem, jest jednocześnie jego największą sprzecznością.

Prawdziwy **Graal**, ten z legend, był prosty, skromny, cichy. Był metaforą wiecznego poszukiwania. W jego symbolice nie ma miejsca na przepych ani żądę dominacji. Jednak ten tutaj to nie naczynie dla wody życia. To kielich władcy. Tron na dłoni, któremu bliżej do korony tyrana niż do relikwii. Lśniący, niemal święta imitacja. Coś pomiędzy obietnicą a oszustwem. Hegemonia, której bliżej mu do kłamstwa.

– Więc... – zaczyna, przerywając moje myśli. Jego głos jest jak zamrożony jedwab: gładki w dotyku, ale parzy lodem. – Powiedźcie mi, panowie, co was jeszcze porusza w sztuce? Oprócz chęci przetrwania.

Dean, który zazwyczaj ma ripostę na każdą okazję, tym razem się waha. To drobiazg, milimetrowe przesunięcie wzroku, drgnięcie mięśnia na karku, którego nikt inny by nie zauważył, ale ja widzę to wyraźnie. Znam go na tyle dobrze, aby wyczuć, że to coś, co nie zdarza się często.

Czekam, aż coś powie, ale on tylko sięga po szklankę, zatrzymując dłoń w powietrzu o ułamek sekundy za długo. To moment, w którym rozumiem, że pierwszy ruch należy do mnie.

– Emocje – mówię powoli, cedząc każdą sylabę. – Sztuka, która nie potrafi wywołać skurczu w trzewiach, jest tylko dekoracją dla trupów. Martwa i bezużyteczna.

Czarna maska odchyła lekko głowę. W pustych oczodołach pojawia się błysk. To nie jest zainteresowanie. To satysfakcja drapieżnika, który właśnie usłyszał odpowiedni ton skowytu.

– Emocje? – Smakuje to słowo, jakby było tanim winem, które zaraz wypłuje. – Emocje to pozór, sentymentalny belkot dla tych, którzy boją się patrzeć w głąb. Prawdziwa sztuka nie prosi o wzruszenie. Ona wdziera się pod skórę, gwałci zmysły i nie pyta o zgodę. – Wskazuje na ścianę niedbałym gestem, na której wiszą płótna. – Który z tych obrazów najbardziej do was przemawia? Który z nich was karmi?

Przesuwam wzrokiem po płótnach.

Pierwszy przedstawia postać zawieszoną nad przepaścią. Ciało napięte do granic wytrzymałości, jakby jedno słowo, jeden szept, mogło pchnąć ją na samo dno. Tło jest rozmyte, nienaturalnie intensywne, jak fragment gorączkowego snu, który odmawia zakończenia. Nie jest to obraz przedstawiający skok. To obraz wiecznego upadku.

Na drugim widzę grupę postaci bez twarzy. Klęczą, skupione wokół niewidzialnego centrum. Ich dłonie są uniesione w nabożnym geście, ale cienie na ścianie zdradzają ich kłamstwo. Tam, gdzie na płótnie jest świetlista pustka, w mroku rzucanym przez ich ciała majaczy zarys czegoś monstrualnego, ogromnego i nienasyconego.

Trzeci. Para spleciona w uścisku, z którego nie ma ucieczki. Ciała są obdarte ze skóry, przykryte czymś w rodzaju syntetycznej tkanki. Błyszczącej, sztywnej, przypominającej spaloną folię, która wtopiła się w żywą skórę. To coś desperacko udaje intymność, ale śmierdzi plastikiem i rozkładem. Miłość obliczona nie w sercu, a w laboratorium. Czysty fałsz, od którego cierpnie szkliwo na zębach.

Wskazuję obraz.

– Ten drugi – mówię, a mój głos tnie ciszę z pewnością, której sam się boję. – Bo to, czego nie widzimy, jest zawsze najgroźniejsze. Pustka jest tylko przynętą.

Jego głowa przechyła się minimalnie. Ten ruch jest jak echo werbla przed egzekucją.

– Interesująca perspektywa – mówi, przytykając kielich do ust. Nie

widzę jednak by pil. To tylko teatr, kolejna warstwa maskarady. Wtedy, niemal szeptem, z dawką jadu, której nie da się zignorować, zwraca się do Deana:

– A pan?

Dean nie spuszcza wzroku. Jego sylwetka twardnieje, zmieniając się w nieruchomy głaz. Wie, że każde słowo może teraz zaważyć, czy ten pokój stanie się tylko przystankiem, klatką... czy naszą wspólną mogiłą, w której nikt nas nie znajdzie.

– Trzeci – mówi Dean, a jego głos jest wyprany z emocji, zimny jak stal sekcyjna. – Bo sztuka to ból. A największa sztuka to ta, która udaje życie, podczas gdy w środku jest już tylko trupem.

Cisza. Taka, w której każde słowo brzmi jak błąd, rośnie i zacieśnia się wokół naszych gardel. Słyszać tylko zegar, a może to tylko pulsowanie krwi w moich skroniach, rytm odliczający czas do katastrofy.

Nagle wybucha cichy śmiech. To nie jest wesoły dźwięk. To chrobot paznokci o wieko mojej trumny.

– Fascynujące. – Czarna maska odkłada kielich. Jego palce pieczą go o sekundę za długo, jakby wyczuwał w nim drżenie naszych mięśni, jakby delektował się naszą niepewnością. Lekko się pochyła. Głos drastycznie grubiej, nabierając surowości zamykanych drzwi do karceru. – Wiecie, większość ludzi wybiera pierwszy. Boją się pobrudzić ręce czymś, czego nie da się zmyć mydłem.

– Bo my nie jesteśmy większością – odpowiadam natychmiast.

Moje oczy są suche, nie mrugam. To nie kwestia dumy. To czysta kalkulacja. Większość ludzi jeszcze w coś wierzy. My mamy tylko siebie i ten brud pod paznokciami.

– Oczywiście, że nie – szepcze, składając dłonie jak do modlitwy nad czymś, co zaraz zostanie złożone w ofierze. – I dlatego mam do was jeszcze jedno pytanie.

Pauza wstrzymuje powietrze. On jest architektem napięcia, dilerem

strachu, który wie dokładnie, jaką dawkę podać, by nas sparaliżować. Ta cisza to jego broń. Elegancka, bezszelestna, rozcinająca nas na pół w miejscu, gdzie kiedyś nosiliśmy sumienia.

– Jak daleko jesteście gotowi się posunąć... by stworzyć coś prawdziwie niezapomnianego? Coś, co zostanie, gdy wasze ciała będą już tylko nawozem?

W tej grze nie ma dobrych odpowiedzi, są tylko różne stopnie potępienia. Milczenie między nami drga, nasycone cynizmem kogoś, kto widział już dno i postanowił tam zamieszkać.

Zanim zdążymy wykrztusić choć słowo, mężczyzna gwałtownie się prostuje. Jego cień na ścianie nagle pęcznieje, wykrzywia się, jakby chciał odkleić się od tynku. Przestrzeń traci stabilność. Ściany zdają się pocić czarną mazią razem z nim.

Słyszę kroki. Niespieszne, ale wyraźne.

Miękkie, ciche, ale każde zetknięcie obcasa z podłogą ma wagę. Każda nuta uderza osobno z intencją. Nie podnoszę od razu wzroku, ale czuję ją. To nie dźwięk ani nie zapach. To obecność, która przesącza się do pomieszczenia jak dym pod drzwiami podczas pożaru.

Muszę ją zobaczyć. Nie po to, by się upewnić. Po to, by zrozumieć. To jak nieuchronność.

Kobieta. Pojawia się w drzwiach. Nie nagle, nie ostentacyjnie, jakby nie chciała zwrócić na siebie zbyt dużej uwagi, a jednocześnie sprawia, że cała przestrzeń nagle ożywa. Nie potrzeba muzyki. Nie potrzeba słów. Jest jak królowa, która wchodzi do gry w kluczowym momencie. Zmienia układ sił na planszy. Nie musi wykonywać żadnych ruchów, sama jej obecność je wywołuje.

Suknia długa do kostek. Czerwień. Prosta, surowa, bez krzykliwości, bez żadnej ciężkiej biżuterii. Włosy ma gładko upięte na karku. Sprawia wrażenie kogoś, kto panuje nad każdą sekundą swojego istnienia. Jest jak cień, który zdaje się poruszać w rytm swoich własnych

myśli, a każdy jej ruch jest dokładnie wyważony. Kontroluje nie tylko przestrzeń wokół siebie, ale i czas, który się wokół niej zatrzymuje.

– Wanda. – Czarna maska skłania lekko głowę. To nie brzmi jak imię. Bardziej przypomina tytuł, a kiedy je wypowiadasz, jedyną słuszną reakcją jest spuszczenie wzroku.

Wanda. To imię uderza mnie jak obuchem. Widziałem je w notatniku Sinéad, rzucone niedbale między inne bezużyteczne fakty... Teraz nagle staje się centrum mojego przekłętego wszechświata.

Kobieta podchodzi do nas z nieludzkim spokojem. Nie spieszy się, bo wie, że czas i tak należy do niej.

– Mam nadzieję, że nie zanudziłeś naszych gości? – rzuca w stronę czarnej maski, ale jej uwaga jest już przy nas.

– Nie... tylko rozmawialiśmy o granicach sztuki.

Porcelanowa maska, idealnie dopasowana, matowa jak kość słoniowa, z perłowym połyskiem zmieniającym się wraz z kątem światła. Patrząc na nią i czuję ten sam niepokój, który musiał czuć **Natanael**, patrząc na twarz **Olimpii**. Podkreślone kości policzkowe, subtelnie zarysowana szczeka. Otwory oczu są węższe niż naturalne, przez co jej spojrzenie staje się nieuchwytnie, drapieżne. Nie wiem, czy patrzy na nas, czy błądzi gdzieś dalej, ale czuję na sobie jej zimną uwagę. To jest spojrzenie lalki, która udaje życie. Usta zakrzywione w uśmiechu, który wygląda, jakby ktoś próbował ją nauczyć, czym jest czułość, ale zapomniał dodać jej emocji. Nie do końca człowieczy. Nie do końca sztuczny. Onieśmielająco spokojny.

– Granice sztuki? – Jej głos jest cichy, niemal kojący, ale pod spodem słyszę ten sam zgrzyt, co u niego. Śmiech kogoś, kto już dawno przestał wierzyć w odkupienie. – To temat, który wymaga... osobistego doświadczenia.

Wanda nie siada. Stoi przed nami z wyprostowanymi plecami, bez wysiłku, jak ktoś, kto nie musi już udowadniać swojej pozycji. Figura

o większej wadze. Jej obecność mówi więcej niż jakiekolwiek gesty, stroje czy rekwizyty. Nie musi podnosić głosu. Nie potrzebuje manifestować dominacji przez dziwne kielichy, teatralne ruchy ani zaklęcia zbudowane na estetyce ekscentryzmu. Jej siła leży w prostocie. W bezruchu. W tym, że nie musi nic robić. Wystarczy, że jest.

– Słyszałam, że macie... – zaczyna tonem lekkim, niemal konwersacyjnym. – oko do sztuki.

To zdanie nie opada na podłogę. Ono zawisa w dusznej ciszy jak odbezpieczony granat.

– Doceniam ludzi z prawdziwą pasją – kontynuuje, a jej głos staje się miękki jak jedwab, którym dusi się ofiary. – Większość tylko udaje. Recytują nazwiska, liżą buty krytykom, by poczuć się kimś. To nie jest sztuka. To tylko tania nekrofilia na zwłokach estetyki. – To nie jest już tylko rozmowa. To inicjacja. Jesteśmy częścią gry, której zasady piszą się na naszych oczach.

Robi krok w naszą stronę. Płynny, świadomy. Przelewa się w naszą stronę, zapraszając nas do przestrzeni, w której nie ma żadnych granic. Fizycznych, moralnych czy nawet estetycznych.

Wyciąga powoli dłoń. Nie ma w tym, żadnego teatralnego napięcia mięśni. Jedynie spokój. Pewność. Dłoń smukła, delikatna, o długich palcach, które mogłyby należeć zarówno do pianistki, jak i modliszki, zastygłej w bezruchu tuż przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

– *Wanda Hope Ophellgort* – mówi. – Ale mówcie mi Wanda.

Imię brzmi miękko, niemal osobiście, jak szept nad uchem skazańca. Nazwisko natomiast jest jak cięcie szkła. Dość długie, twarde, pełne ostrych krawędzi, o które można się nieodwracalnie pokaleczyć.

Chwytam jej dłoń. Chłód przypomina mi metalowy klucz trzymany w śnieżny dzień, nie lodowaty, ale wystarczająco przenikliwy, by utkwić w mojej pamięci na zawsze. To dotyk kogoś, w kim krew krąży nie z zasady, tylko z obowiązku.

– Jack Morgan – odpowiadam, tonując głos. Maski robią swoje, ale wiem, że nie zakryją wszystkiego. Nie tutaj, nie przed nią. Wskazuję głową na Deana. – Towarzyszy mi... pan Thomas Reynolds.

– Miło was poznać. – Brzmi tak, jakby знаła nas wcześniej, jakby czekała na nas.

– Ophellgort... – powtarzam, szukając czegoś znajomego. Cuchnie starymi grzechami – Nietypowe nazwisko. Skąd pani pochodzi?

Wanda zatrzymuje na mnie wzrok. Zawiesza na ułamek sekundy, oceniając, czy pytanie zasługuje na odpowiedź.

– Panie Morgan. Pochodzę z miejsc, o których niewielu chciałoby usłyszeć – mówi to bez cienia emocji w głosie. Każda sylaba opada, wyprana z tlenu, osiadając na mnie jak zimny popiół w krematorium. To jedno z tych zdań, które nie potrzebuje rozwinięcia. W tej przestrzeni, w której nic nie dzieje się przypadkiem, nawet bezgłos wydaje się mieć reżysera-sadystę.

Teraz czuję jej perfumy. Subtelne. Nie narzucające się, ale obecne, jak sygnał nadany tylko dla tych, którzy wiedzą, jak odczytać zapach zbliżającego się dramatu. Kwiaty. Może irysy, może nie... przełamane czymś chłodnym, mineralnym. Płatkiem śniegu owiniętym delikatną mgłą, całość zamknięta w kryształowej fiołce. Osiada w gardle, dławiąc. Mimo całej tej kompozycji jest nieprzyjemnie. I jeszcze coś... cichy ślad białego piżma, jak oddech, który zostaje, gdy życie już ucieknie z ciała. Kojarzy się ze świeżym praniem, delikatnym dotykiem, nagą skórą po kąpieli, na której zaraz ktoś zostawi siniaki.

– Chciałam was poznać osobiście. W końcu rzadko spotyka się ludzi, którzy naprawdę rozumieją, czym sztuka może się stać... gdy przestaje być ograniczana.

Ostatnie słowo zastygło między nami, suche jak pył w grobowcu **Cesarza Qin**. Uśpione i pozbawione lekkości, czekające tylko na jeden nieostrożny oddech, by wzbić się i nas osłepić

Czarna maska cofa się niemal niezauważalnie. Jego ruch to nic więcej niż nieistotna korekta, jak goniec usunięty z planszy, gdy do gry wchodzi siła, która nie bije figur, lecz wywraca stół. Jego rola dobiegła końca. Szachownica należy teraz tylko do niej.

– Więc... – Jej palce muskają brzeg kieliszka. – Powiedzcie mi. Co was porusza? Co w sztuce sprawia, że nie możecie odwrócić wzroku?

Stoi tak blisko, że czuję jej oddech na skórze. Muszę niemal zadziierać głowę, by spojrzeć jej w *oczy*, w te puste szczeliny porcelany. Bliskość parzy. Jest w niej coś nienaturalnego, co zmusza moje ciało do przejścia w tryb przetrwania. To pierwotny instynkt, który krzyczy, że drapieżnik jest tuż obok, choć racjonalnie nic mi nie grozi.

– Wstrząs – mówię powoli, ważąc słowa, które brzmią teraz jakoś banalnie, słabo. – To, co sztuka robi z odbiorcą. Kiedy zmusza go, by poczuł coś, czego nie chce czuć.

Milczy. Sekundę za długo. Nie wiem, gdzie patrzy, ale czuję, jak jej wzrok wchodzi we mnie głęboko, wybebeszając każdą myśl, rozkładając mnie na czynniki pierwsze jak mięso na targu.

– Ciekawa perspektywa. – Jej głos nie zdradza nic, choć czuję się testowany na jej własnej, nieludzkiej skali.

Mam wrażenie, że moja odpowiedź była tylko płytką wymówką. Zaraz potem przenosi spojrzenie na Deana. On odkłada kryształową szklankę. Celowo robi to leniwie, grając w swoją własną, cyniczną grę. Nie bawi się w poezję. Jego głos tnie bez ostrzeżenia.

– Proces – mówi, a w jego oczach błyska coś brudnego. – To, co dzieje się wcześniej. Nie efekt, który podziwiają debile w galeriach, ale każda decyzja, która prowadzi do tego momentu. Krew na dłoniach rzeźbiarza, strach modela, moment, w którym twórca uświadamia sobie, że żeby coś stworzyć, musi najpierw coś nieodwracalnie zniszczyć. To mnie porusza. Cała reszta to tylko marketing dla naiwnych.

Porcelanowy uśmiech Wandy wydaje się teraz jeszcze ostrzejszy.

– Zniszczyć... – powtarza cicho, jakby to słowo było najslodszyzn wyznaniem. – Wiedziałam, panie Reynolds, że pod tą pańską maską kryje się ktoś, kto nie boi się brudu. – Gestem wskazuje na ściany, płótna, cienie. Przez chwilę zastanawiam się, czy jej ręka nie porusza się z jakimś ukrytym celem, byśmy ujrzeli to, co ona chce. – To, co tu widzicie... myślicie, że to sztuka?

W rogu, w gęstym cieniu, koczuje czwarty obraz. Jest jak nowotwór na tej wystawie. Zupełnie inny, wyrwa się z ram. Postać na nim to nierealny ochlap cienia, który odmawia przyjęcia ludzkiego kształtu. Rysy twarzy? Brak. Wyraz? Pustka. Tło to rzygowiny szarości, purpury i czerni, których nie znajdziesz w naturze. Każdy milimetr płótna wibruje napięciem, ale to nie jest lęk. To czekanie. Obrzydliwe zawieszenie między tym, co zdechło, a tym, co nigdy się nie narodzi.

W jej rękach, jeśli to w ogóle są kończyny, nie ma żadnego gestu. Jest tylko ruch wstrzymany w połowie, zamrożony w agonii. Ta rozlana plama nie patrzy na nic. Jednak może patrzy? Na wszystko, co jest w nas zepsute?

Granica między płótnem a stęchłym powietrzem pokoju po prostu zdycha. Mam wrażenie, że jeśli wyciągnę rękę, moje palce zanurzą się w tej purpurowej mazi, a ja sam stanę się kolejnym elementem tego nieskończonego wyczekiwania. Ten obraz nie mówi... on wrzeszczy, w gryza się w myśli i odbiera oddech.

Nie mogę oderwać wzroku.

– Nie pozwala mi odejść – mówię, a mój głos brzmi jak przyznanie się do winy. Bo to jest prawda. Brutalna i brudna.

– Hmm... Może jednak zostanieie tu na dłużej – Wanda przechyla głowę, a jej maska lśni w mroku jak wypolerowana czaszka. – Sądzę, że mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia.

To nie jest zaproszenie. To szach. Czuje, jak niewidzialna pętla zaciska się na moich nadgarstkach, wbijając się w skórę do krwi, choć

nikt mnie nie dotyka. Nie czeka na nasze przytaknięcie. Ona już założyła, że nie mamy dokąd pójść.

– Brzmi kusząco – rzucam, a cynizm w moim głosie jest tak gesty, że mógłbym go wypluć na podłogę. Obaj z Deanem wiemy, w jakie szambo właśnie wchodzimy. Jak cienka, śliska granica dzieli nas od błędu, który będzie naszym ostatnim.

– Naprawdę jesteście inni. – Wanda splata dłonie, a w jej głosie pobrzmiewa pogarda do reszty świata. – Większość przychodzi tu tylko chłonać jak bezmózgie bydło, ale wy... – Jej wzrok wżera się we mnie. Teraz to widzę. Oczy czarne jak przepracowany olej, pozbawione dna. Nie patrzą na mnie. One mnie pochłaniają, sprawdzając, ile jeszcze warstw muszą ze mnie zedrzeć, zanim dotrą do kości. – Wy analizujecie. Chcecie zrozumieć... a może raczej boicie się, co możecie znaleźć?

– A czy sztuka nie powinna wywoływać niepokoju? – pytam, ważąc każde słowo, jakby to była linia graniczna, którą przekraczam z pełną świadomością.

– Powinna – przyznaje Wanda.

Kładzie dłoń na oparciu, tuż obok mojej skroni. Czuję bijący od niej chłód, podczas gdy ona lekko przechyla głowę, studiując moją ukrytą twarz jak świeżą ranę, która jeszcze nie zaczęła krwawić.

– Pytanie brzmi: czy jesteście gotowi przekroczyć granicę obserwatora? – Jej głos nie drży. Jest gładki, pewny, niemal kojący, a mimo to czuję, jakby każde słowo było łańcuchem opadającym na moje ramiona. Przekroczenie tej linii oznacza koniec luksusu bycia *tymi, którzy tylko patrzą*. Stajemy się współwinni. Stajemy się częścią tej zgnilizny.

Nie odpowiadam. Nie dlatego, że nie znam odpowiedzi. To nie jest pytanie o odpowiedź, to test na stopień zepsucia. Ona czeka. Jak kot, który patrzy na mysz drgającą w agonii i zastanawia się, czy warto ją dobić teraz, czy pozwolić jej jeszcze chwilę powalczyć.

– Wiem, że jesteście gotowi na coś więcej. Na coś, co sprawi, że zapomnicie o tym, co wypada – szepcze.

– Może – rzuca Dean, rozwalając się wygodnie w fotelu. W jego głosie słychać lód nad powierzchnią brudnej wody. To tylko starannie wykreowana fasada, ale w tych murach to nasza jedyna broń. – Albo po prostu wiemy, że w tym miejscu nie ma już pola na niewinność.

Wanda przeciąga chwilę, delektując się tym wyznaniem.

– Powiedzmy, że są rzeczy, które można zobaczyć tylko wtedy, gdy wie się, gdzie patrzeć. I kogo trzeba oślepić, żeby nie widział za dużo. Myślę, że wasza perspektywa mogłaby wnieść coś interesującego. To nie jest komplement, to ocena przydatności narzędzi.

– To zaproszenie? – pytam.

Kobieta unosi kieliszek i wznosi toast, który wygląda jak pieczętowanie wyroku.

– W **Lux Aeterna** nie ma przypadkowych gości. Są tylko tacy, którzy jeszcze nie wiedzą, że zostali wybrani. Zanim jednak wejdziecie głębiej w nasz świat... Mam dla was coś wyjątkowego. Zapraszam was na naszą aukcję.

To nie jest zaproszenie. To obietnica. Odzywa się instynkt. To nie jest lęk, nie jest to też ekscytacja. To coś głębszego. Zaczynam dostrzegać, jak wszystko wokół zaczyna się spajać w jedną, nieuchwytną całość. Wanda rozkłada ręce w geście zaproszenia, który wygląda jak przestroga przed wejściem do klatki. To ruch, który zamyka nas w jej kręgu. Linia, za którą nie ma już sumienia.

– Przejdźmy do sali głównej.

Wstajemy. Dean robi pierwszy krok, powolny i wyważony. Jego ciało już dawno wbiło się w rytm tego miejsca, rytm drapieżnika. Podążam za nim. Czuję na sobie spojrzenia, te widoczne i te ukryte za maską powłoką masek. Jedne są jak wyrok, drugie jak obietnica gwałtu na psychice.

Przechodzimy przez wąski korytarz. Światło jest tu przytłumione, ściany zdają się zacieśniać, a nasze kroki brzmią zbyt głośno, jakbyśmy szli na szafot.

Sala główna uderza nas swoją przestrzenią. Jest jaśniejsza, ale przez to jeszcze bardziej klaustrofobiczna. Tu mrok nie ma gdzie się schować, więc paraduje na widoku. Ludzie suną między sobą, ich rozmowy tworzą jednostajny, mdły szum, w którym topią się wszystkie niewypowiedziane krzyki.

Coś się zmieniło. W nas. W tym miejscu.

Granica między obserwatorem a uczestnikiem po prostu zdechła. Jesteśmy w środku gry, w której stawką jest to, co jeszcze nazywamy duszą. Po raz pierwszy w życiu szczerze boję się dowiedzieć, co zostanie ze mnie, gdy ta aukcja dobiegnie końca.



**Za zamkniętymi drzwiami**

Główna sala zaczyna powoli wypełniać się gośćmi, przy których czuję się jak oszust. Moje życie zostało zastawione pod hipotekę tego jednego wieczoru, a każdy mój krok w pożyczonych butach brzmi tu zbyt głośno. Sala łapczywie pochłania obecność tych ludzi, tłumiąc szelest jedwabiu i echo kroków, jakby tolerowała tylko ciszę i prawdziwe pieniądze, czyli wszystko, czego mi brakuje. Los rzucił mi takie kości, a właściwie postawił mi tarota, z którego jasno wynika, że muszę tu być, choćby za cenę wszystkiego.

Stoliki ustawione w regularnych rzędach, zajmują całą przestrzeń. Wyglądają jak zdjęte z planu zdjęciowego, gdzie scenariusz nie pozwala na odstępstwa od reguł, bo elita nie lubi niespodzianek, chyba że te kosztują powyżej miliona. Większość ustawiono blisko siebie, tworząc porządek, elegancję i sztuczny tłum. Stoliki są proste, detale subtelne, nierzucające się w oczy. Bo po co, skoro i tak nikt nie patrzy na meble, tylko na innych gości? Jednak w tym tłumie jeden stolik wyłamuje się z tego schematu. Stoi, nieco wyżej od pozostałych. Jest ustawiony na lekko podwyższonej platformie. Oczywiście, że wyżej. Ktoś musi patrzeć na motloch z góry. Oddzielony od reszty sali, lecz nie na tyle, by stracić kontakt z wydarzeniem.

To miejsce, które nie chce być dostrzegane, ale nie potrafi ukryć swojej wyjątkowości. Wokół stolika stoją fotele obite ciemną skórą, ustawione tak, by siedząca przy nim osoba miała pełny widok na scenę, ale jednocześnie nie była w centrum. Dyskretna władza. Najbardziej pożądana.

Stolik jest skromny, lecz wyjątkowy. Z drewna, które wygląda jak wydarte z samego serca lasu. Albo z najdroższego katalogu, wszystko jedno. To twarde, ciemne drewno, z wyraźnymi żyłkami, które biegną wzdłuż jego powierzchni jak skrywane historie. Na nim leży kilka drobnych, eleganckich detali: kryształowa karafka i kilka szklanek, które w świetle odbijają delikatne refleksy.

Subtelne akcesoria sugerują, że miejsce jest zarezerwowane dla kogoś, kto nie potrzebuje krzyczeć, by przyciągnąć uwagę, wystarczy, że ma pełny portfel.

Rozmowy cichną falami. Goście stopniowo zdają sobie sprawę, że to już ten moment... moment, dla którego opuścili swoje pałace. Wszyscy patrzą na zegary, ale to my jesteśmy tu jedynymi **Kopciuskami**. Tyle że żaden z nas nie ma kryształowego pantofelka, który mógłby się zgubić. Mamy tylko czas, który wycieka nam przez palce oraz nadzieję, że nasza mistyfikacja nie pryśnie przed północą. Bo gdy wybije dwunasta, nie odjedziemy stąd złotą karocą. Przed wejściem czeka na nas tylko poobijany Ford Crown Victoria z osiemdziesiątego dziewiątego, ze zgrzytającą skrzynią i rdzą zżerającą nadkola. A nasza **Wróżka Chrzestna**, Wanda? Cóż, Wanda nie macha różdżką, nie sypie też magicznego pyłu, by spełniać marzenia. Mam wrażenie, że ona raczej zaciska pętlę na naszych szyjach, pilnując, byśmy z tego balu nie wyszli żywi.

Stoję pod ścianą. Dean obok. Dwie marionetki na sznurkach, czekające, aż ktoś nimi poruszy. Nie musimy długo czekać.

Czarna maska zbliża się bezszelestnie, jak cień, który wie lepiej, gdzie jest nasze miejsce. Jego obecność to niemal nieuchwytnie przypomnienie, że nasze kroki zostały tu poprowadzone z jakiegoś powodu. Bez słowa wskazuje stolik. Tak, ten, który już wcześniej przyciągnął moją uwagę.

Zatrzymuję się na chwilę, nie siadając od razu. Coś w tym miejscu sprawia, że czuję się... obco. Jakbym wciąż miał przy sobie zwykły, zużyty portfel, zamiast tytanowej karty American Express Black.

Dean również stoi nieruchomo, czekając na coś, co rozwieje jego wątpliwości, jak manekin, najwyraźniej wciąż mieląc w głowie resztki logiki, które nie mają tu prawa bytu.

Czarna maska, typ o posturze grabarza z luksusowego domu pogrzebowego, wyczuwa naszą konsternację. Pochyla się, a z jego ust wydobywa się szept gęsty od niewypowiedzianych gróźb.

– Wanda zarezerwowała wam miejsca przy swoim stoliku. – To wyrok, od którego nie przewidziano apelacji.

Mężczyzna prostuje się i odchodzi bez słowa. Rozpływa się z gracją drapieżnika, który właśnie zapędził ofiary do zagrody.

Siadamy. Fotele są przerażająco wygodne, że niemal czuć pod palcami ich cenę. Dean poprawia mankiet, a ja widzę, że jego dłoń na ułamek sekundy zastyga w powietrzu, jakby bał się, że zostawi ślad na tym nieskazitelnym luksusie.

– Mamy swój stolik dla dorosłych – rzucam półgłosem.

– Co? – mruczy, nie odrywając wzroku od czarnej maski, która wciąż majaczy w oddali.

– Na poniedziałkowym wernisażu powiedziałeś, że może następnym razem dostaniemy stolik dla dorosłych. No to gratuluję, Dean. To jest ten moment.

Dean parska cicho.

– Super. Tylko dlaczego kurwa, wcale nie czuję się jak dorosły. Czuję się, jakbym siedział w krzakach, zasłaniając się gazetą, licząc na to, że nikt nie zauważy, jak bardzo tu nie pasuję.

Światła gasną, a cała horda snobów zwraca, puste ślepią w stronę podwyższenia na końcu sali. Niewielkie, ledwie kilka stopni, ale wystarczające, by Wanda wyróżniła się ponad tłumem.

Wchodzi bez pośpiechu.

Jej suknia nie tyle leży na ciele, ile zdaje się z niego wyrastać, pulsując w rytm każdego kroku. Nie potrzebuje tanich sztuczek, by skraść uwagę. Ma tę chorą aurę kogoś, kto decyduje, kiedy wolno ci wziąć następny oddech. W tym półmroku jej maska przestaje być rekwizytem. Wygląda, jakby zrosła się z tkanką, stając się nową, odrażającą

twarzą. Podchodzi do mównicy. Nie sprawdza mikrofonu, nie poprawia papierów.

– Dobry wieczór państwu.– Jej głos nie potrzebuje podniesienia, bez trudu wypełnia całą przestrzeń. – Zaczynamy.

Za jej plecami nic nie ma. Nie ma ani obrazu, ani rzeźby.

– Brak. – To słowo odbija się echem od ścian, brzmiąc przy tym niemal obscenicznie. – Jest najczystsza formą sztuki. Esencją tego wszystkiego, co w nas pozostanie. – Przesuwa dłonią wzdłuż pustej przestrzeni z nabożnym skupieniem, jakby głaskała niewidzialną bestię. – Coś, co tu powinno być, ale tego nie ma. A może... może to miejsce jest zakryte tylko dla tych, którzy patrzą z daleka, a ci, którzy podejść bliżej, poczuć, że coś tam jest... – Robi pauzę, pozwalając, by wypowiedziane słowa gęstniały w powietrzu, ciężkie jak zapomniany kurz. – Nawet jeśli tego nie dostrzegą.

Na sali zapada cisza. Nie uprzejma, nie wymuszona milczeniem, ale pełna napięcia. Zupelnie wszyscy wstrzymali oddech, czekając, aż coś w tej próżni nagle nabierze kształtu.

Ktoś cicho chrząka, inny przesuwają się na krześle. Kilka osób wymienia spojrzenia, ale nikt nie odzywa się pierwszy.

Spoglądam na Deana, szukając w jego oczach odpowiedzi.

– To jakaś sekta czy po prostu wyjątkowo drogi żart? – szepczę, nie kryjąc sarkazmu.

– Może oba – mruczy, nie odrywając wzroku od podium. – Spójrz na nich. Wyglądają, jakby zaraz mieli zacząć lizać tę ścianę, jak psy, które wyczuły pod tapetą kawalek boczkę, jeśli tylko im rozkaże.

Obserwuję te wygłodniałe kundły. Ich ciała astralne lgną do przodu w groteskowym transie, próbując wyczuć vibracje w próżni. To nie jest podziw dla sztuki, to strach przed byciem tym jedynym, który nie widzi cudownych szat cesarza. Ciemność zaczyna drgać, a rzeczywistość staje się równie tandetna i nieszczerza jak obietnice zbawienia.

Jest taka przekonująca, że zastanawiam się, czy Wanda mówi prawdę, czy może to tylko gra, fałszywa rzeczywistość, którą wszyscy muszą zaakceptować, by tu zostać. Ciemność w sali zaczyna przygasać jeszcze bardziej, jak sen, który błędnie w świetle dnia.

Dean wypuszcza powietrze nosem, dźwięk jest krótki, ostry i pelen pogardy. Próbuje przebić ten balon absurdu, ale igła jest zbyt krótka. Tutaj nicość ma status bóstwa.

– Przeszarżowaliśmy, Howard. – Nie patrzy na mnie. – To bagno jest głębsze, niż zakładaliśmy. To takie, którego nie czujesz, dopóki nie zauważysz, że rozpuszcza ci buty.

– Norma – rzucam, ignorując dreszcz na karku. – Moje buty i tak są do wymiany.

– Nie podoba mi się to.

– Dopóki serwują darmowe drinki i nikt do nas nie strzela, udawaj, że bawisz się świetnie.

Moje spojrzenie przemyka przez salę, ale Phelptoona nie widać. Logiczne. Przecież wszyscy mają maski, ale nawet z postury nikt go nie przypomina. Pod tymi maskami każdy może być Phelptoone. Każdy może być katem. Przeszukuję salę wzrokiem, szukając jego specyficznego, ciężkiego chodu, ale tłum jest jak jedna, wielogłowa bestia. Jedno jest pewne: *po głosie rozpoznam go od razu*. Tylko czy coś mi to da? Cholera. To działa w obie strony. Przecież on też może mnie rozpoznać.

Z myśli wyrywa mnie głos Wandy.

– Dziś mamy wyjątkową kolekcję. Każdy z tych przedmiotów jest skażony geniuszem. Albo zbrodnią. Granica między nimi i tak dawno przestała istnieć. – Pauza. Krótka, doskonała w swojej precyzji, jak niewielka iskra, która wystarczy, by wzniecić zapłon w całej zawartości powietrza. – Niektóre opowiadają historie. – Głos nie zdradza niczego, a jednocześnie mówi zbyt wiele. – Inne czekają, by je napisać.

Patrzemy, a jednocześnie nikt nie chce być pierwszym, by zareagować. Z ledwie dostrzegalnym gestem unosi dłoń. Z cienia wypelza mężczyzna, niosąc skrzynię z taką nabożnością, jakby trzymał w niej coś niezwykle cennego. Stawia ją, otwiera i odchodzi.

Wanda zanurza w niej dłoń, spokojnie, nie śpiesznie. Ten moment nie jest tylko gestem, ale całą koncepcją czasu.

A potem pojawia się to, co naprawdę ma wartość.

– Rękawice mistrza Roussel.

Ciemna skóra pokryta żłobieniami, które w świetle reflektorów wyglądają jak siatka naczyń krwionośnych. To nie jest wzór. To przekłeta mapa szaleństwa.

– Wyglądają jak coś, co wykopali z płytkiego grobu – mruczy Dean. – Ile obstawiasz? Sto tysięcy za parę używanych rękawiczek?

– To cena za złudzenie, że są od niego lepsi – odpowiadam.

Wanda kontynuuje:

– W tych rękawicach powstały jedne z najbardziej kontrowersyjnych dzieł ostatniej dekady.

Przez salę przetacza się śmiech. Jest nerwowy, krótki, brzmi jak pęknięcie cienkiego szkła pod butem. Pojawia się i zdycha w tej samej sekundzie, bo nikt nie chce wyjść na jedynego idiotę, który nie rozumie dowcipu.

Wanda milczy, a to milczenie jest gęstsze niż jej słowa. To nie jest przypadkowy ruch. To jest pokaz siły. Jej obecność wypełnia salę bez wysiłku, osiada na nas jak toksyczny pył. To jest w tym wszystkim najbardziej niepokojące: *ona nie musi niczego udowadniać*. Ona po prostu posiada naszą uwagę, tak jak posiada te wszystkie trupy w gablotach.

Wanda wraca do licytacji.

– Cena wywoławcza: dziesięć tysięcy.

Słowa tną jak szczek przeladowywanej broni. Tu nikt nie widzi szwów ani tekstury. To nie licytacja, to zbiorowa egzekucja portfeli,

gdzie gilotyną jest metka.

Nie oszukujmy się... nie płacą tylko za skórę. Tu nie handluje się rzeczą, tu handluje się tożsamością. Płacą fortunę za historię, której sami nie potrafią stworzyć, desperacko wierząc, że marka lub przedmiot wypełni ich zepsute wnętrze.

Nie liczy się ten cały Roussel. On mógłby uszyć te rękawice ze syntetycznego, błyszczącego weluru, który udaje aksamit. Symbol podmiejskiego luksusu z centrów handlowych, a oni i tak by o nie walczyli, gdyby tylko cena była dość upokarzająca dla reszty świata. Liczy się tylko to, co oznacza posiadanie. Jak bardzo ten kawałek starej skóry zdefiniuje ich miejsce w stadzie, zanim zdechną. Każda kolejna stawka sprawia, że tlen w sali robi się niesmaczny.

Płacą za **Bossa**, bo potrzebują munduru, który powie światu, że są gotowi gryźć, by utrzymać się na szczycie, by ich szanowano, bo boją się słabości. Płacą za **Chanel**, bo desperacko pragną, by zapach luksusu zamaskował fetor ich przeciętności, by im zazdroszczono, bo boją się brzydoty. Teraz jednak licytują rękawice, żeby móc w końcu przestać patrzeć na innych. To cena za iluzję, że nie są tylko kolejnym ciałem w tym wielkim, pozłacanym grobowcu.

Dean nachyla się do mnie. Czuję zapach jego nerwowego potu.

– Kojarzysz go? Mistrza... Ruzelota? Rousella? Czy jak mu tam szło w tym bełkocie?

Zerkam na niego z rozbawieniem, którego mój biały, plastikowy pysk na szczęście nie zdradza.

– Dean, naprawdę chcesz o tym teraz dyskutować? To mistrz Roussel, nie Ruzelot. Jeszcze chwila i pomylisz go z kolesiem, który smaży omlety w telewizji śniadaniowej. Skup się, zanim nas tu zlicytują razem z tą garażową wystawką.

Wzrusza ramionami, ale widzę, że jego pewność siebie właśnie wyparowała. Głos traci swoją dominującą barwę, staje się płaski.

– No wiesz, nie wszyscy muszą śledzić każde wyszukane nazwisko... I tak to chyba nie ma większego znaczenia. Wszystko tu śmierdzi szwindlem.

Przesuwam palcem pod krawędzią maski. Próbuje poluzować ją, choć o milimetr, bo mam wrażenie, że zaraz zmiażdży mi kości policzkowe. Strużka potu spływa mi po skroni, laskocząc skórę w sposób, który doprowadza mnie do szału. Nie mogę jej otrzeć. Pod tym białym plastikiem brakuje wszystkiego, przede wszystkim tlenu. Każdy oddech smakuje własnym strachem.

Cichy śmiech Deana rozładowuje napięcie, ale to tylko złudzenie. Chwilowo czuję się nieco swobodniej, choć w środku wszystko we mnie wyje. Gra trwa, a ja nie zamierzam zgubić koncentracji. Każda sekunda może być tą, w której ktoś wyciągnie nóż albo zdejmie maskę, odsłaniając twarz, ale na co ja liczę.

Na podium trafia kolejny eksponat. Mała szkatułka z drewna. Wygląda jak coś, co kiedyś miało blask, ale teraz jest już tylko wyblakłe, wyzute z koloru, martwe.

Wanda podchodzi do niej powoli. Jej dłonie działają z delikatnością kogoś, kto szanuje historię. Drewno jest stare, pokryte patyną, której nie da się podrobić. Każde zadrapanie, każda rysa na powierzchni przypomina opowieść, której nie da się wymazać. Krawędzie szkatułki zniszczone przez czas, na powierzchni wyrte znaki, które nadal krzyczą o kulturze startej z powierzchni ziemi. To nie jest drewno, to czyjś testament zamknięty w próżni, czekający na nowego właściciela, który i tak go nie zrozumie.

– Artefakt bez nazwy – głos Wandy płynie jak ściek obiecujący złoto. Jest w nim ten specyficzny chłód wody, która niby jest letnia, ale od której sinieją ci usta. – Mówi się, że należał do artysty, który stworzył jedno jedyne dzieło, a potem... zniknął.

– Pięćdziesiąt tysięcy – ciska głos z lewej. Czysta, finansowa agresja

kogoś, kto nigdy nie musiał sprawdzać stanu konta przed kolacją.

– Siedemdziesiąt.

– Sto.

Aukcja dostaje przyspieszenia, której nie powstydziliby się nawet rasowy licytator. Każda kolejna stawka to skok w przepaść z namalowanym uśmiechem na ustach.

– Czujesz to? – mruczy Dean.

Czuje. Kolejny przedmiot znika w łapach kogoś, dla kogo te sumy to tylko abstrakcyjne ciągi zer, matematyczny żart. Dla nich to kaprys, dla mnie równowartość kilku żyć, których nigdy nie przeżyję. Te pieniądze krążą nad nami jak sępy w klimatyzowanej próżni, szukając kolejnego trupa do obskubania.

Wanda lekko unosi podbródek. Mam wrażenie, że patrzy prosto na mnie, choć przez te przekłete maski nic nie jest pewne.

Szachownica przesuwa się o kilka pól. Gra przyspiesza, a ja zaczynam mieć mdłości.

– A teraz... przejdźmy do czegoś naprawdę wyjątkowego.

Dwaj faceci wchodzą na podium, a za nimi, jak rozlana plama atramentu, kroczy postać, która wywraca atmosferę w tej budzie do góry nogami. To nie jest zwykły ruch. To procesja, która niczego nie wyjaśnia, tylko mnoży pytania. To jak postawienie pionka tylko po to, by patrzeć, jak płonie ogniem, którego nie da się ugasić.

Ona wygląda jak mokry sen **Ricka Owensa** w jego najmroczniejszą noc. Ubranie jej nie zdobi... ono ją więzi. Czarne szaty wsysają światło, nie oddając ani jednego fotonu. Materiał opada jak zawieszista ciecz, bez fałd, bez końca, tworząc wokół niej aurę absolutnej nieznannej. Rękawy zwisają niczym skrzydła martwego ptaka, a każdy ruch rozmywa krawędzie świata wokół niej.

Głowa pochylona, kaskada włosów zasłania oczy, a jej twarz tonie w mroku, który zdaje się nie mieć źródła. Jediną oznaką życia to jej

drzenie. Nieregularne, nerwowe, jak u narkomana na głodzie. To ciało krzyczy głośniejsz niż Wanda. To nie jest zwykły stres, to walka z czymś, co siedzi pod skórą i próbuje się wydostać. Ciało zdradza coś jeszcze... to, co mówi więcej niż słowa. Niepokój, ale nie ten zwykły. Ten, który dotyka mnie głęboko.

Wszystko we mnie zastyga. Nawet mruganie wydaje się teraz fizycznym wysiłkiem, na który mnie nie stać. To nie tylko widok tego chorego żartu na scenie. To narastające przekonanie, że zaraz wydarzy się coś, czego nie da się odkręcić, nie da się zmyć krwi z rąk.

Wanda przekrzywia głowę, jakby badała reakcję stada.

– To... płótno – mówi. Nie podnosi głosu. Nie musi. Ten szept niesie się jak wyrok śmierci. – Żywe.

Sala zamiera. Dosłownie. Ktoś jeszcze przed chwilą szeptał, teraz nie słyhać nawet westchnień.

– To nie jest zwykły obiekt – ciągnie Wanda, delektując się każdą sylabą. – To fragment sztuki. Dziś wieczorem to ciało stanie się czymś więcej. Dziełem.

Te hieny w maskach pochylają się do przodu. Wierzą, że biorą udział w czymś historycznym, w jakimś ostatecznym akcie kreacji. To nie jest podziw dla sztuki, to zbiorowe szaleństwo. I oni chcą mieć na to karnet VIP.

Wanda podchodzi do postaci na podium. Jej dłonie blade, elegancie, muskają ramiona tej... osoby.

– To nie tylko piękno – syczy, a jej dłoń sunie po materiale z lubością godną nekrofila. – To transcendencja. Przekroczenie bariery między twórcą a tworzywem.

Transcendencja? Co to do cholery znaczy?

Szata ześlizguje się z ramienia. Cisza robi się tak głęboka, że słyszę, jak jakiś tłusciuch po lewej głośno przelyka ślinę. A potem widzę skórę. Czystą, nierealną, jakby czas o niej zapomniał. Nagość, ale w tym

nie ma ani grama erotyki. To brutalna bezbronność, która nie prosi się o litość. Ona jej żąda, wymusza ją, ale nikt jej nie daje. W tym miejscu litość nie ma żadnej wartości rynkowej.

– Cena wywoławcza: dwieście tysięcy.

Słyszę, jak Dean zaciska dłoń na podłokietniku. Skóra fotela trzeszczy, drewno jęczy pod jego palcami.

– Dwieście pięćdziesiąt – rzuca ktoś z mroku.

– Trzysta.

– Trzysta pięćdziesiąt.

To nie są liczby. To puls. Każda nowa oferta uderza w bębny jak kolejne tąpnięcie przed zawalem.

– Czteryście pięćdziesiąt.

**Wdech, wydech...**

– Pół miliona! – mój głos eksploduje jak granat. Nie dlatego, że krzyczę. Po prostu to jedyny ludzki dźwięk w teatrze marionetek.

Wszystkie maski w sali, jak na komendę, skręcają karki w moją stronę. Widzę te puste, plastikowe ślepie.

Dean kopie mnie w nogę.

– Co ty odpierdalasz, Howard?! – szepcze. – Chcesz, żeby nas tu przemielili na karmę?

Ignoruję go. Czuję na sobie wzrok Wandy. Nie widzę jej oczu, ale jej satysfakcja osiada mi na skórze jak kleisty śluz.

– Pół miliona po raz pierwszy – rzuca, z lekkim rozbawieniem.

Postać na podium nawet nie drgnie. Stoi w bezruchu, wchłonięta przez mrok, jakby już dawno przestała być człowiekiem. Dopiero teraz do mojego tępego mózgu dociera, co właściwie zrobiłem.

– Pół miliona po raz drugi.

O kurwa!

– Jeśli jakimś cudem wyślizgniemy się z tego szamba, osobiście wypatroszę cię tępym nożem – syczy mi prosto do ucha, a w jego głosie

słyszę obietnicę, której dotrzyma z lubością.

Z otchłani sali dobiega kobiecy głos. Spokojny, brejowaty od satysfakcji, jaką daje patrzenie na cudzy upadek.

– Sześćset tysięcy.

Moje płuca w końcu decydują się na współpracę, choć powietrze tutaj smakuje jak zleżała krew. Dean też wypuszcza oddech, krótki, świszczący dźwięk kogoś, kto właśnie zdjął pętlę z szyi, by za chwilę założyć ją komuś innemu.

– Sześćset tysięcy po raz pierwszy.

A potem, z ciemności, pada kolejna kwota.

– Milion.

To nie była licytacja. To było odzieranie z godności i ostatniego oddechu. Mężczyzna w masce jeleniej czaszki odchyła się w fotelu z tą swoją pańską, *ryzogenną* nonszalancją. Przypomina bóstwo, które właśnie kupiło sobie nowy rodzaj grzechu.

– Milion po raz pierwszy... Milion po raz drugi... Milion po raz trzeci... Sprzedane.

Za jednym zamachem kupił ją, nasze milczenie i przelamał nasze kręgosłupy, choć nawet nie musiał wstawać z miejsca.

– To wyjątkowe doświadczenie. – Głos Wandy staje się gładszy, bardziej miękki, ale w tej miękkości jest coś ostrego, co może skaleczyć, jeśli się za bardzo zbliżysz. – I dostępne tylko dla tego, kto dziś wieczorem udowodnił swoje oddanie sztuce.

Każde jej słowo opada na salę jak gorący asfalt na otwartą ranę, zostawiając trwałe syf na sumieniach tych wszystkich przebiegaczy. Choć, umówmy się, szukanie sumienia w tej sali to jak szukanie dziewicy w burdelu.

Jeleniogłowy nie pyta o szczegóły. Bogowie nie zadają pytań. Wystarczy ledwo dostrzegalne skinienie. Cały ten cyrk był ustawiony, zanim jeszcze zdążyliśmy zdjąć płaszcze w szatni.

– Za pięć minut zapraszam do pokoju inspiracji – Wanda unosi kieliszek. Kryształ łapie światło, plując na ściany refleksami, które wyglądają jak powidoki po wybuchu. – Tam będzie czekać na pana... to, za co pan zapłacił.

Nikt nie mruga. Pseudo-marszandzi zastygli w bezruchu jak muchy w bursztynie, napawając się dreszczem cudzego nieszczęścia. Rzekomi znawcy sztuki, do cholery...

Czuję łokieć Deana na moich żebrach.

– I co? Czujesz już ten dumny blask bohatera?

– A jak myślisz? – burczę, czując w ustach smak żółci.

Dean odkłada szklanekę na blat. Szkło uderza o drewno.

– Kurwa, Howard... – Jego szept jest tak cichy, że ledwo go słyszę mimo bliskości. – Musimy coś zrobić, zanim ten gość odbierze... swój zlicytowany towar.

W mojej głowie miałą się scenariusze. Każdy z nich śmierdzi kostnicą i totalnym chaosem. Beznadzieja ma to do siebie, że nie zostawia miejsca na błędy.

– Wykluczone. Jeżeli nas zdemaskują, zdechniemy w taki sposób, że ta licytacja wyda ci się przy tym pieprzonym piknikiem.

– A ona? – Dean rzuca okiem na podium.

Patrzę na to żywe płótno. Dziewczyna stoi nieruchomo, jakby już dawno opuściła swoje ciało, zostawiając nam tylko pustą skorupę do oglądania. W tym miejscu śmierć, to tylko kolejny środek wyrazu, nowatorski pędzel. Właśnie postawiliśmy kropkę nad *i* w jej nekrologu.

– Nie mamy pojęcia, co on z nią robi – klamię tak gładko, że sam prawie sobie wierzę.

Doskonale wiem, co oznacza *nagroda*. Wiem, że to miejsce nie rządzi się normalnymi zasadami. I wiem też, że nie jesteśmy tutaj bezpieczni. To rzeźnia z lepszym oświetleniem.

– Nic nie możemy zrobić – dodaje, chowając dłonie do kieszeni,

żeby nie widział, jak mi drżą. Nie wiem, czy tym gestem przekonuję jego, czy siebie, miotając się w sidłach iluzji kontroli.

Wzrok Deana parzy. Czekam, aż wstanie i zgasi ten festiwal żenady, tu i teraz, posyłając kulę prosto w jego środek.

– Pierdolę to. – Głos jest twardy, wykuty z najzimniejszej stali, pozbawiony cienia strachu. To nie jest kapitulacja, to deklaracja wojny. Widzę w jego oczach, że on już dawno przestał licytować, a zaczął liczyć naboje.

Wanda zbliża się powoli, jej kroki są częścią chorego rytmu, którego nikt z nas nie słyszy, poza nią. Nie spieszy się, bo śmierć nigdy się nie spieszy. Zatrzymuje się przed nami, wpatrując się w nas bez słowa. Zbyt długo. Zbyt intensywnie. Jej spojrzenie waży tyle, co wyrok.

– Licytowałeś – jej głos jest zawieszony gdzieś pomiędzy uśmiechem a groźbą. – Mimo że się nie udało, zaimponowałeś mi.

Zanim zdążę złożyć usta do odpowiedzi, jest już przy mnie. Siada tuż obok mnie, tak blisko, że czuję żar jej ciała, kontrastujący z trupim chłodem sali. Jej obecność staje się fizyczna.

– Cieszę się, że nie wygrałeś.

Dlaczego się cieszysz? Teraz patrzy na mnie jak równy na równego, ale w tej równości jest tylko obietnica wspólnego staczania się w otchłań. Słyszę delikatny szelest sukni, kiedy przesuwają się w moją stronę, a chwilę później jej dłoń spoczywa na moim ramieniu, ale jej maska... Z tej odległości maska przestaje być tylko przedmiotem. Widzę siatkę mikroskopijnych pęknięć, jak stare blizny, które ktoś próbował zaszpachlować porcelaną. Jest organiczna, żywa. To nie osłona, to nowa skóra, która wrosła w jej ciało tak głęboko, że granica między kobietą a ceramiką przestała istnieć.

Jej palce przesuwają się wzdłuż krawędzi mojego karku. Nie ruszam się, trzymając oddech. Na moment mam wrażenie, że to nie ona wywołuje napięcie w moim ciele. To ja pozwalam, by to trwało.

– To jeszcze nie koniec. Dostaniecie nagrodę pocieszenia – Wypowiada to z taką lekkością, jakby oferowała nam drinka z cyjanowodem, a nie bilet do piekła. W **Lux Aeterna** *pocieszenie* to eufemizm na śmierć, która nadchodzi wolniej niż zazwyczaj, żebyś miał czas docenić wszystkie niuanse agonii.

W normalnym świecie ludzie wierzą w **Brzytwę Hanlona**, zasadę, by nigdy nie przypisywać złej woli temu, co można wyjaśnić zwykłą głupotą, ale tutaj, w tych oparach luksusu i zgnilizny, obowiązuje **Od-wrotna Brzytwa**. Tutaj nigdy nie przypisuje się przypadku temu, co można wyjaśnić czystym, wyrafinowanym sadyzmem. Każde jej słowo, każdy centymetr przesunięcia palca po mojej masce, to nie błąd czy impuls. To skrupulatne cięcie w miejsca, gdzie jeszcze tli się we mnie resztką godności.

Chcę wiedzieć, co się, do kurwy nędzy, dzieje. Wszystko wymyka się spod kontroli. Tylko... czy kiedykolwiek trzymałem za cugłę? Mój wzrok jest wbity w jej sylwetkę, choć nie widzę nic poza maską.

– Ktoś po was przyjdzie. Muszę was opuścić. Muszę się przygotować. – Jej głos nie jest ani miły, ani złowrogi. To coś pomiędzy. Balansuje na granicy tonu, który nie należy do żadnej emocji, a jednocześnie sugeruje wszystkie naraz.

Czego ta suka naprawdę chce?

Jaki mam plan? Nie mam żadnego.

Wstaje powoli. Jej ruchy są płynne, miękkie, opierając się niewidzialnemu oporowi, który zna, ale go nie unika. Jakby tańczyła tango z grawitacją.

Czuję, jak jej palec, zimny jak lód, delikatnie przesuwają się po powierzchni mojej maski. Czy chce ją zdjąć? A może tylko sprawdza, jak zareaguję na dotyk jej dominacji. Odruchowo napinam ciało, próbując się cofnąć, ale to bez znaczenia. I tak nie mam gdzie uciec. Ta scena, ten moment... jest klątką, w której się znalazłem.

Czekam na ten jeden ruch, na suchy trzask pękającego kłamstwa, gdy jej palec bada krawędź plastiku na mojej twarzy. Tylko że ona nie daje mi tej ulgi. Zostawia mnie z tym ciężarem, doskonale wiedząc, że strach przed zdemaskowaniem żre bardziej niż samo obnażenie.

To czysty psychologiczny sadyzm. Trzymać kogoś za gardziel i nie zaciskać palców, tylko po to, by ofiara sama wyobrazila sobie moment uduszenia.

Obserwuję, jak się odwraca, a jej sylwetka wsiąka w mrok. Nie tylko odchodzi, ona zmienia stan skupienia. Z gracza w echo, które będzie nas prześladować w każdym kącie tego budynku.

Dean nachyla się, a jego oddech śmierdzi kwaśną adrenaliną.

– Masz, kurwa, te swoje licytacje... – syczy przez zęby. Zero ironii, sama surowa wściekłość kogoś, kto właśnie poczuł, że grunt pod jego stopami zamienił się w ruchome piaski.

Nie mam ochoty zgadywać, co Wanda nazywa *przygotowaniami*. Te odpowiedzi już tu są, wibrują w powietrzu jak prąd w przewodach tuż przed spięciem. Siedzę na krawędzi. Nie myśli, ale otchłani, z której nie ma już odwrotu.

– Co my tu właściwie robimy, Howard? Ta kobieta... ona jest bardziej popieprzona niż wszystkie twoje byłe razem wzięte. A przypominam ci, że normalne one nie były. Pamiętasz Sarę? Tę, która potrafiła zrobić ci awanturę na środku komisariatu, bo nie odebrałeś telefonu, a potem ryczała w aucie, że zmarnowałeś jej życie? Wanda nie płacze. Ona nawet nie mruga.

– Skończ już. – ucinam.

Wanda to inny kaliber. Ona jest właścicielem tlenu w tym pomieszczeniu. Odmierza nam każdy wdech jak porcję więziennego żarcia, pilnując, żebyśmy nie zdechli zbyt wcześnie i nie zepsuli jej widowiska. Po wszystkim i tak trafimy w środek maszynki do mięsa, bo utylizacja wyjdzie jej taniej niż magazynowanie naszych zwłok.

Ktoś staje przed nami. Czarna maska. Posłaniec. Gestem wskazuje, byśmy wstali i poszli za nim. To nie jest człowiek, to kapłan rytuału, który wydaje polecenia i nie oczekuje sprzeciwu.

Sala ignoruje nas z wyćwiczoną obojętnością. Goście, kelnerzy, ci wszyscy luksusowi przebierańcy, nagle stali się tylko martwą naturą, tapetą, która ma maskować to, co dzieje się za kulisami. Nasze nazwiska dopisano drobnym drukiem na marginesie scenariusza, którego nikt nie raczył nam pokazać.

Mężczyzna pcha drzwi. Zawiasy jęczą ceremonialnie, jakby otwierały wejście do chłodni. Ten dźwięk to bariera. Za nią kończy się świat drinków i licytacji, a zaczyna się technologia bólu. Posłaniec rzuca nam przez ramię spojrzenie, które zrozumieć, dopiero gdy będzie za późno na wymioty.

– Panowie, czas sprawdzić, co ta sztuka ma w środku.

Próg nie jest granicą. Jest inicjacją. Przejściem do świata, który nie funkcjonuje według tych samych zasad. Nie ma już rozmów. Nie ma brzęku kieliszków, a każdy oddech, mój czy Deana, wydaje się zbyt głośny w tej ciszy.

W rogach sali zastygli ci sami faceci, których widziałem wcześniej. Padlinożercy w sztywnych, czarnych liberiach, zredukowani do roli nieruchomego tła. Oni nie są tu, by pomagać. Są częścią scenografii, jak rzędy zamaskowanych postaci w filmie **Kubricka**, które w milczeniu obserwują rytuał poświęcenia. Ich maski to bilety wstępu do świata, gdzie można patrzeć na krew i nazywać ją *pigmentem*. Nie mrugają. Nie oddychają. Są tylko oczami, które wyceniają każdy dreszcz.

To, co widzę to scena i stół. Surowy, ale namacalny, z przedmiotami, które niosą zbyt konkretne znaczenie:

Nóż. Zbyt oczywisty.

Pędzel. Zbyt subtelny.

Miseczka. Zbyt cicha.

Fotel zaprojektowany nie dla komfortu, lecz dla niepokoju. W nim kobieta jako płótno. Nieruchoma jak rzeźba. Jej ciało jest spięte, każdy mięsień zamknięty w gotowości, która nigdy nie dojdzie do punktu kulminacyjnego. Pasy na nadgarstkach nie są symbolem. Są realne, wbite w skórę. Jej włosy opadają na twarz. Zasłaniają coś, czego nie powinno się oglądać. Mimo to patrzę. I wiem, że w tym pokoju inspiracji, inspiracją jest strach. A sztuką jest ból. Suknia, cała w elegancji, tylko pogłębia ten kontrast. Przez co nie pasuje do tej całej sceny. Plamy na materiale są zbyt ciemne, zbyt celowe, by były przypadkowe. To nie jest cień. To krew, która wciąż jest lepka.

Dean wstrzymuje oddech. Ja też. Nie dlatego, że odczuwam strach, to raczej paraliżująca świadomość, że właśnie zamknęły się za nami drzwi od środka.

Wanda jest już po próbie generalnej. Krąży przy fotelu z leniwą gracją drapieżnika po posiłku. Muska palcami zagłówek, jakby sprawdzała jakość obicia, a nie miejsce, w którym zaraz wydarzy się czyjś koszmarny.

Mężczyzna w jeleniej masce błądzi dłońmi po blacie, jakby szukał w drewnie pulsu, którego sam już dawno nie posiada. Teraz widzę, to nie jest maska kupiona na jarmarku ani rzeźba z drewna... To, co dźwiga na karku, to autentyczny, zwierzęcy czerep, który musiał gnić w ziemi przez dekady. Kość ma barwę zastalego, brudnego wosku, jest gęsto usiana siatką pęknięć przypominających mapę jakiejś przekłętej krainy.

Widzę, gdzie kończy się człowiek, a zaczyna truchło: skórzane ramię nie tylko podtrzymują konstrukcję, one wbijają się w jego potylicę, zmuszając skórę do nabrzmienia wokół krawędzi kości. Czaszka nie ma dolnej szczęki, więc pod rzędem pożółkłych, jelenich trzonowców widzę jego własne, sine usta, które poruszają się w niemym, chorobliwym transie.

Najgorsze są jednak oczodoły. Wielkie, puste dziury, w których nie widać ludzkich źrenic, tylko absolutną czerń, jakby maska wyżarła mu oczy i zastąpiła je pustką. Kiedy pochyla głowę nad drewnem, słychać suchy trzask. To nie stół pęka, to kręgi mężczyzny trzeszczą pod nie-naturalnym ciężarem tej martwej korony.

– To tu ma się odbyć mój... moment twórczy? – pyta, nie patrząc na nikogo.

– Każdy artysta potrzebuje przestrzeni do tworzenia – odpowiada Wanda. Jej głos jest niemal czuły, ale w tym cieple kryje się coś obcego, coś, co nie zna empatii. – I narzędzi.

Mężczyzna powoli wyciąga rękę. Bierze jedno z nich. Stał chwytając światło, czekając na pierwszą lekcję anatomii.

Dean sapie mi do ucha:

– Musimy coś zrobić. Teraz, kurwa. Albo już nigdy.

– Nic nie wskóramy, Dean. – Mój głos przypomina chrzęst żwiru pod butem. Jeśli teraz drgniemy, po prostu dostarczymy im kolejnych dwóch ochlapów do obróbki.

Dean zaciska pięść tak mocno, że skóra na kostkach zaraz mu pęknie. Każde włókno jego mięśni wyje o akcję, ale teraz jesteśmy tylko sparaliżowanymi podglądaczami.

Wanda nagle spogląda na nas. Nie musi się poruszać, by nas dosięgnąć. Oczy maski wbijają się w nas jak igły. Nie jesteśmy częścią spektaklu. Jeszcze. Mimo to zaczynamy przyciągać uwagę. A w tym miejscu, to może być równie groźne, jak nóż.

Wanda unosi dłoń w ledwo widoczny gest, rozkaz.

Drzwi otwierają się bezszelestnie. Przez próg przechodzi mężczyzna w ciemnym garniturze. Niesie tacę, na której gładka powierzchnia metalu odbija światło żyrandoli, zniekształcając je. Nawet światło nie chce brać w tym udziału. Na tacy, dwa kieliszki. Ciemny, gęsty płyn. Niemal czarny w tym świetle. Wygląda jak płynna noc, jak coś, co nie

ma dna i pożera światło. Pachnie metalem i gorzkimi migdałami, jak coś, co po dotknięciu ust zostawia ślad, którego nie zmyje już żadna ilość wypitej wody.

– Najpierw, jednak... toast – mówi Wanda.

Podaje kieliszek jeleniej masce. Ten nie protestuje.

– Za sztukę? – zaczyna, czekając na odpowiedź.

– Za artystę – odpowiada Wanda, liżąc każde słowo. W jej ustach brzmią jednocześnie jak zaproszenie i groźba. Unosi kieliszek. Muska szkło palcami. – Bo czym byłaby sztuka bez jego poświęcenia?

Niepokój narasta. Jeszcze nie wiem dlaczego.

Mężczyzna podnosi kieliszek do ust. I wtedy ponownie rozbrzmiewa jej głos. Jest jak cięcie żyłką. Czyste, niemal bezbolesne, dopóki nie zobaczysz krwi.

– Ale... czy jesteś pewien, że to ty jesteś artystą?

Jelenia maska zatrzymuje rękę, w połowie drogi do ust.

Wanda kontynuuje:

– Może... – pauza. Krótka, ale rozrywająca. – To właśnie ty, jesteś dzisiaj moim materiałem.

Cisza. Nie ta zwykła, sceniczna. Ta, która wdziera się do uszu, budzi strach, ściskając wnętrze. Mężczyzna przekrzywia głowę. Jego oczy błyskają, ale nie ma w nich już pewności. Pojawia się w nich coś nieokreślonego, niepokojącego. W jego postawie też coś się zmienia.

– Co masz na myśli? – pyta. Jego ton staje się twardszy, ostrzejszy. Przypomina próbę rozproszenia mgły, która właśnie zaczęła pochłaniać wszystko.

Wanda odstawia kieliszek.

Zaczyna się poruszać. Powoli, jak ktoś, kto zna każdy centymetr tej przestrzeni. Jakby to był jej dom, jej sen.

– Myślałeś, że to ty masz władzę? Cóż... każdy artysta kiedyś przemija, aż staje się dziełem.

Głos Wandy ma w sobie tę samą morderczą, pedantyczną nutę co monologi **Patricka Batemana**, gdy analizował ewolucję artystyczną **Phila Collinsa**. Bez cienia emocji, za to z absolutnym przekonaniem o własnej racji. Każda sylaba jest ułożona od linijki i pozbawiona empatii, wypowiedzana z taką dykcją, która sprawia, że brutalny fakt dokonany wydaje się jedynie logicznym domknięciem zdania.

Mężczyzna prostuje się gwałtownie.

– Bardzo ciekawe. Tylko że ja nie przyszedłem tu być niczym dziełem. – Głos mu drży, choć próbuje nadać mu stanowczy ton. Oddech przyspiesza, wyczuwalna panika wkrada się między słowa. – Nie tak się umawialiśmy. Nie za to zapłaciłem!

– Och, ależ dokładnie tak kochany. Po prostu nie zwróciłeś uwagi na szczegóły. – Pstryka palcami. Niemal delikatnie, ale ten dźwięk zdaje się mieć moc rozkazu.

Dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy dotąd stąpiali się z tłem, porusza się bez słowa. Kroczą w jego stronę z nienaruszalną synchronizacją, wykonując scenariusz, który został wcześniej zapisany. Chwytają go za ramiona, siłą, która nie pozostawia wątpliwości.

– Sztuka to nie tylko akt tworzenia czy poświęcenia. – Wanda odwraca głowę w moją stronę, a ja czuję na sobie ciężar jej martwego spojrzenia. – To także wybór. – Jej słowa są jak zaproszenie do wspólwin. Chce, bym patrzył. Chce, bym stał się częścią tego brudu.

Mężczyzna walczy chwilę z uściskiem, ale jego ciało zdradza więcej, niż sam by chciał przyznać. Drży, ale nie krzyczy.

Jeszcze nie.

– To jakiś chory żart! – Głos pęka mu w połowie zdania. Próbuje zachować resztki godności, ale strach zdiera z niego tę pańską osłonę szybciej niż dłonie ochroniarzy. Teraz to tylko skomlenie kogoś, kto nagle pojął, że w **Lux Aeterna** cena za bilet obejmuje również krew.

– Wręcz przeciwnie. Brałeś udział. I wygrałeś.

Kobieta, która dotąd siedziała nieruchomo, pozornie martwa jak rzeźba, ożywa. Wstaje jednym ruchem. Nie zauważyłem, nawet kiedy rozwiązano jej ręce. Zbliża się, powoli, beznamietnie. Zatrzymuje się tuż przed nim. Ich twarze dzieli może dwadzieścia centymetrów. Patrzy mu w oczy. Bez litości, ale też bez triumfu. Jej dłonie przesuwają się wzdłuż marynarki, lekko odchylając ją na boki. Rozpina koszulę, odsłaniając klatkę piersiową. W jej spojrzeniu nie ma gniewu, nie ma radości. Jest tylko bezdenny spokój.

– Proszę – Jego szept jest jak kruche, parujące szkło.

Kobieta nie sięga po nóż. Sięga po pędzel. Płynnym ruchem, zanurza włosie w miseczce na stoliku. Czerń. Nie tusz, nie atrament. Substancja jest zbyt ciężka, by być tylko pigmentem. Maż w miseczce ma polysk rozlanej ropy i gęstość skrzeplej krwi. To jest coś organicznego, co wykształciło się w wyniku fermentacji nocy i tajemnicy. Ciecz, która nie maluje powierzchni, ale ją pożera.

Przeciąga pędzel przez płyn, a jego ruch wydaje mokry, lepki dźwięk, który nie pasuje do tego miejsca. Brzmi jak szept wewnątrz otwartej rany.

– Nie, nie, proszę... – Jego głos przyspiesza, staje się desperacki. Nie walczy. Nie ucieka. Stoi. Unieruchomiony przeczuciem, które ścisła mocniej niż jakikolwiek ludzki uchwyt.

Ściągają mu maskę. Zanim zdąży się zorientować, już jej nie ma. Wtedy... nic. Żadnych blizn. Żadnej twarzy wyrzeźbionej przez traumy. Zwyczajna. Zbyt zwyczajna. Jasna skóra, napięta, lekko wilgotna. Rysy symetryczne. Krótkie, przygładzone włosy, które wyglądają na układane zbyt często. Oczy szeroko otwarte, szukają wyjścia, którego nie ma. Mógłby być każdym. Mógłby być nikim. To facet, którego mijasz w metrze i zapominasz o nim, zanim zamkną się drzwi wagonu. Urzędnik, mąż, sąsiad, ale teraz ta jego gładka, nudna fizjonomia staje się poligonem dla czyjś obłądu.

Palce dotykają jego policzka. To nie jest czułość. To analiza. Ona sprawdza fakturę skóry i temperaturę strachu z taką samą obojętnością, z jaką jubiler bada kamień. Początek czegoś nieuniknionego jak myśli dojrzewającej w samotności.

Na jego skórze pozostaje ledwie widoczna pierwsza linia, cienka, jak włókno, a jednak nieprzypadkowa, tworząc nową mapę, nieznana jeszcze kartografię ciała. Nowe granice, które nie mają nic wspólnego z topografią człowieka. Druga na skroni, również delikatna, ale wyraźniejsza. Przesuwa linię twarzy, przekształcając ją bezpowrotnie. Trzecia, tuż przy ustach.

– Przestań.

– Wdech – mówi cicho kobieta. Słyszę ten oddech. Jest mokry, urywany, pelen paniki, która nie ma już ujścia.

Patrzę na jego gardło, gdzie pędzel kreśli czarną linię i czuję, jak moje mięśnie sztywnieją w geście solidarności z umierającą godnością tego człowieka.

Jego pierś unosi się w spazmatycznym oddechu, każdy milimetr powietrza zdaje się mieć własną wagę. Ciało pozostaje w bezruchu, ale serce... bije jak bęben przed egzekucją.

Kolejna linia. Na gardle. Tuż nad jabłkiem Adama, jakby miała przeciąć nie tylko skórę, ale i głos. Farba wsiąka w skórę, zostawiając nikły ślad na powierzchni. Wtapia się, czekając tylko na ten moment, by się ujawnić. Czerń znika pod naskórkiem, jakby była inteligentnym pasożytem szukającym drogi do żył. To nie tylko malowanie, to infekcja. Wynaturzona, nieodwracalna i całkowicie akceptowana przez organizm, który przestał należeć do niego.

To już nie jest kwestia estetyki.

To nie jest ozdoba.

To nie jest gra.

To przemiana. Wynaturzona i nieodwracalna.

Wiem, że zaczyna rozumieć. Że gdzieś za przerażeniem wylania się ta nagle, brutalna świadomość. Kobieta się nie śpieszy. Każdy jej gest, to odmierzanie czasu pędzlem, nie zegarkiem. Każdy znak, który nanosi, ma swoje miejsce, swoje przeznaczenie. Nie improwizuje. Ona wie, co robi. Kości policzkowe. Linia szczęki. Obszar pod obojczykami. Wszystko staje się siatką oznaczeń, punktem odniesienia dla czegoś większego. Całe jego ciało staje się płótnem. A ona, artystką, sędzią, katem. Ma teraz pełną władzę nad jego losem.

– Nie... – jego głos to nie głos. To oddech, który się złamał. To próba mówienia, powietrzem, którego już nie ma.

Kobieta zaciska palce na jego szczęce. Siła w tym geście nie jest sadystyczna. Wręcz przeciwnie. Jest spokojna, ale wymusza spojrzenie. Kontakt. Konfrontację.

– Sss...

Mężczyzna nieruchomieje. Wchodzi w stan zawieszenia. Jakby jego system nerwowy odmówił dalszego udziału.

Wanda, która do tej pory tylko się przyglądała, nagle się odzywa:

– Widzisz? – pyta, a ja nie wiem, czy zwraca się do mężczyzny, czy do mnie. – Najprawdziwsza sztuka nie potrzebuje zgody. Ona jest jak natura, po prostu zajmuje miejsce, które jej się należy.

Sięga po nóż, a potem podchodzi do jeleniej maski *obdartej ze skóry*, naznaczonej, wypatroszonej z resztek uznania.

Pierwsze cięcie jest płytkie, niemal czule. Tuż pod linią zaznaczoną wcześniej. Nie ma tu miejsca na przypadek. To wprowadzenie. Czerń farby zlewa się z czerwienią krwi, tworząc nową, gęstą barwę, która nie należy ani do sztuki, ani do życia. Farba i krew. Życie i śmierć.

Patrzę na to i wyobrażam sobie zakurzone ryciny, na których Wanda jaśniej niż słońce **Apollo**, bóg słońca, muzyki i prawdy, patron wszystkiego, co wzniosłe... brednie. W rzeczywistości był mściwym skurwielem, który nie znośił konkurencji. Karierowiczem na

**Olimpie**, który własne kompleksy maskował złotym blaskiem. Gdy satyr **Marsjasz** przegrał z nim pojedynek muzyczny, bóg nie zadowolił się byle zwycięstwem. Jebaniec przywiązał go do drzewa i żywcem obdarł ze skóry, by udowodnić, że boski ład nie zna litości dla amatorów sztuki.

Wanda nie jest morderczynią. Jest spadkobierczynią tamtego okrutnego porządku. Dla niej ten mężczyzna jest tylko kolejnym **Marsjaszem**, który wszedł w szranki z czymś, czego nie rozumiał. Teraz płaci jedyną walutą, jaką akceptuje **Lux Aeterna** i każde inne bóstwo światła: *własną krewią*.

Mężczyzna szarpie się, ale dłonie dwóch zamaskowanych postaci trzymają go bez litości. Żadnych słów. Żadnych reakcji. Ich palce zaciśkają się na jego ramionach jak szczęki, nie zostawiając miejsca na protest. Nie trzymają człowieka. Trzymają materiał do obróbki.

Wanda przekrzywia głowę. Nie jak istota ludzka. Jak coś, co próbuje ją naśladować. Na moment łapie mnie wzrokiem. Albo wydaje mi się, że to robi. Jej oczy to czarna dziura, która nie odbija światła ani mojej obecności. Nie patrzy na mnie jak na człowieka. Patrzy jak na kolejne potencjalne płótno, które może przywiązać do drzewa.

Drugie cięcie głębsze. Ostrze wchodzi w skórę z miękkim mlaśnięciem. To dźwięk rozdzieranej, zużytej tkaniny, która przestała chronić to, co jest pod spodem. Krew i farba spływają po jego skroni jedną, nierozróżnialną strugą. Granica się zatarła. Ciało nie jest już tylko ciałem. Jest przestrzenią roboczą.

Wanda nie przerywa. Jej ręka prowadzi nóż tak, jak wcześniej kobieta prowadziła pędzel. Warstwa po warstwie. Oznaczenie po oznaczeniu. Jego wargi drgają. Wtedy trzecie cięcie przecina je, bez żadnego ostrzeżenia. Rozdziera na dwie równe połowy. On już nie krzyczy. Nie wydaje też dźwięku.

Tylko oddycha. Szybko i płytko.

Czuję wilgoć na dłoniach, a maska na mojej twarzy staje się imadłem. Zapach świeżej krwi miesza się z chemicznym odorem farby.

Właśnie teraz muszę być twardy. Muszę stawić czoła temu szaleństwu, nie dając po sobie poznać, jak głęboko mnie to dotyka. Z każdą sekundą czuję, jak staję się częścią tego wszystkiego, mimo że staram się temu oprzeć.

Rzucam krótkie spojrzenie na Deana. Jego ciało napięte. Pięści zaciśnięte. Nie możemy się ruszyć. Nie możemy nic powiedzieć. Wiemy, co się stanie, jeśli to zrobimy. Jego wzrok, gdyby mógł, powiedziałby jedno: *w co my się do cholery znowu wpakowaliśmy*.

Wanda odchyła głowę, patrzy na swoje dzieło, ocenia. Jej dłoń spoczywa na jego policzku z czułością rzeźbiarza kończącego swoje opus magnum. Czarno-czerwona smuga zostaje na jej dłoni.

Przesuwam wzrokiem po kilku postaciach stojących w cieniu, szukając sylwetki, którą znam... Phelptoon. Zasady profilowania są nieublagane. Tacy jak on nie potrafią odmówić sobie widoku z pierwszego rzędu. Musi tu być. Musi napawać się tym, jak nóż Wandy otwiera kolejne warstwy człowieka, którego on sam pewnie wystawił na żer.

Analizuję każdy detal. Sposób, w jaki jeden z mężczyzn trzyma dłonie splecione przed sobą, ciężar, z jakim inny opiera się o ścianę. Szukam tego specyficznego, drapieżnego spokoju, który bije od ludzi kontrolujących cudzy ból. Jeśli Phelptoon mnie rozpoznał, to właśnie teraz, przez te wąskie otwory w masce, próbuje wyczuć, czy ja też należę do ich świata.

Wracam spojrzeniem do Wandy. Patrzy, prosto na mnie, a ja czuję, jak zimno osiada mi w żołądku, wypełniając przestrzeń pomiędzy moimi organami, a myśl staje się ociężała.

– Widzisz? Prawda zawsze jest pod spodem. Ja tylko pomogłam mu ją wykrzyczeć.

Przesuwa zakrwawionym palcem po swoim policzku, zostawiając

na masce ślad, który wygląda jak lekki uśmiech. Następnie unosi rękę w lekkim, ale uderzającym geście.

– Zapraszam do siebie. Obu.

Chyba kurwa żartujesz...

Dean pozostaje nieruchomy. Ja też, ale to nie ma znaczenia. Jeden z zamaskowanych *gości* robi krok za nami. Nie dotyka nas. Nie pogania. Jednak jego obecność mówi wszystko. Nie mamy wyjścia. Musimy podejść. Chłód posadzki wdziera się w moje stopy przez podszwy. Szorstka powierzchnia zdaje się wysysać ze mnie siły, paraliżując każdy mięsień, jakby budynek karmił się moim wahaniem.

Jestem teraz zbyt blisko, by nie dostrzec szczegółów. Krople krwi lśnią w słabym świetle, odbijając każdy ruch, jakby były podglądaczami naszych najgłębszych lęków. Ciemne, złośliwe punkty, które szepczą o czymś, czego nie chcę wiedzieć. Cała ta scena jest jak przestroga jak ostrzeżenie. I chociaż zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie mogę oderwać wzroku.

Dłonie mężczyzny drżą, kurczą się, choć powinien już nie mieć siły. Czuję to wszystko, ale nie mogę odejść.

– Wzruszające, prawda? – Maski Wandy nie spuszcza z nas wzroku. Jej palce suną leniwie po twarzy mężczyzny. Każdy ruch niesie ze sobą słowa: *to jest moja przestrzeń. To jest mój świat.*

– Sztuka wymaga emocji – Jej głos jest jak woda, powoli wlewająca się w każdą szczelinę mojego umysłu, odbierając mi przestrzeń, zostawiając tylko odbicie. – A wy wyglądacie, jakbyście coś odczuwali.

Faktycznie zaczynam czuć, ale nie to o czym mówi. Instynkt wyje. Moje ciało wchodzi w tryb alarmowy, każdy mięsień mam napięty.

– A może... – Zatrzymuje się na ułamek sekundy dłużej niż potrzeba. – Chcielibyście spróbować?

Patrzę na Deana. Czekam, aż coś powie. Żart. Zaprzeczenie. Cośkolwiek, co rozbije ten moment, ale on milczy.

Wanda powoli odwraca się do stolika obok i bierze do ręki pędzel. Pokryty jeszcze wilgotną czernią, która zdaje się pochłaniać światło. Odwraca się z powrotem do nas i wyciąga go w naszą stronę. Jego wilgotna końcówka lśni, czekając na nasze poświęcenie.

Dusznosc uderza mnie prosto w pluca. Pod białym plastikiem brakuje tlenu, a zapach zelaza i farby drażni nozdrza, stając się nie do zniesienia. Nie chcę tego dotykać. Nie chcę stać się częścią tej kompozycji. Nie chcę nawet oddychać tym samym powietrzem co oni.

Czeka. I nie tylko ona. Czuję na sobie wzrok tych wszystkich masek. Phelptoon gdzieś tu jest, delektuje się moim paralizem. Wanda oferuje mi złoty bilet wstępu, którego nie da się już zwrócić, ale prawda jest znacznie gorsza... ja ten bilet znalazłem już dawno, głęboko pod opakowaniem własnej naiwności. Teraz tylko go odbezpieczam, stojąc przed bramą jej chorej fabryki cudów, gdzie zamiast rzek czekolady płynie gesta, krzepnąca posoka.

Jeden ruch ręką i Jack Morgan przestanie być tylko obserwatorem. Stanie się oprawcą. Dla mnie to nie spektakl. To jarmarczna szopka. Licytuje się tu ludzkie dusze, a ja właśnie dostałem propozycję, by zostać klaunem. **Willy Wonka** tej galerii nie rozdaje słodczy... On patroszy dziecięce marzenia o wielkiej sztuce i każe nam je żreć, aż pękają nam żołądki. Ten złoty bilet nie prowadzi do wiecznej sławy. To przepustka w otchłań, z której wychodzisz albo w masce, albo wcale.

Dean stoi nieruchomo, ale wiem, że widzi to, co ja: krew wsiąkającą w podłogę, rozlewającą się powoli, ale nieubłagane, jak plama, która nie chce zniknąć. Dłoń ofiary, która drży konwulsyjnie, z palcami wykrzywionymi w bólu. Te czarne linie na jego skórze. Tego widoku nie da się zapomnieć, nawet jeśli zamknę oczy.

Wanda wciąż trzyma pędzel w dłoni. Nie ponagla nas. Nie musi. Sam ciężar tej chwili zdaje się zgniatać mi pluca.

Wtedy słyszę śmiech mężczyzny.

Ten sam, który powinien właśnie zdychać w kałuży własnej krwi, stoi prosto. Rany zdają się go nie obchodzić, jakby ból był dla niego tylko nowym ubraniem. Szcherzy zęby w uśmiechu, który jest zbyt szeroki, zbyt nieludzki. Krew ścieka mu po brodzie, ale on patrzy na nas z kpiącą wyższością, a jego głos wyslizguje się z ust, pełen chłodnej pewności:

– Mam nadzieję, że podobał wam się spektakl.

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie, zamierając na krótki moment w jego końcach.

– Co do... – Dean urywa.

Mężczyzna robi krok w naszą stronę. A potem jeszcze jeden. Jego ruchy są powolne, przeciągnięte, delektuje się każdym naszym szokiem. Nie tylko go dostrzega, ale też go chłonie, karmi się nim.

Wanda lekko pochyła głowę, świdrując nas spojrzeniem, zmuszając nas do odpowiedzi.

– Sztuka potrzebuje kolejnego aktu. Teraz... wasza kolej – mówi, nadal trzymając pędzel.

Serce rozrywa mi pierś, uderzając bez wytchnienia.

– Wiecie, jak to działa. – Jej słowa to delikatny dotyk, który wdziera się w ciało, sprawiając, że nie wiem, czy to ból, czy zimne, nieprzyjemne poczucie pustki. – Jeden na drugim.

Co, kurwa? To nie może się dziać naprawdę. To musi być jakiś chory teatr. Przesadzony performance, groteska dla znudzonych psychopatów, ale nikt się nie śmieje.

Wanda nie mruga. Czeką, aż instynkt przetrwania wygra z lojalnością. Złoty bilet, który przed chwilą nam oferowała, zamienił się w bilet powrotny, ale ceną jest krew tego drugiego. To najprostszy mechanizm tego miejsca: *abyś ty mógł wyjść, ktoś inny musi zostać częścią wystawy*.

Nikt nie wstaje i nie mówi, że to koniec przedstawienia.

Wszyscy milczą. Maski patrzą. Oczekują.

– A więc? Kto pierwszy?

Jak trofea. Jak pieprzona piramida z ciał. Nie ma opcji. Nie ma, kurwa, takiej opcji, żebym znów musiał...

Wanda patrzy, jakby wiedziała, co myślę. Jakby czekała, aż coś się we mnie złamie. Jednak to nie ja się łamię.

Dean zaciska palce na pędzlu tak mocno, że drży mu całe ramię. Już nie patrzy na mnie. Walczy z czymś, co jest silniejsze od rozkazów Wandy. Widzę w jego oczach kalkulację, której się boję.

Zapach żelaza wypełnia moje zmysły, niemal go żuję. To nie jest pokój inspiracji. To prosekatorium moich wspomnień. Widzę te rany, te poszarpane linie i nagle przestaję widzieć salę w **Lux Aeterna**. Stoję w kałuży krwi. Czuję wilgoć pod stopami, ale to nie tu. Nie jestem w tym pokoju. Nie w tym momencie. Dłonie zaczynają drżeć, a napięcie w ciele przybiera na sile, nie dając mi szansy na ukojenie. Nie dlatego, że się boję. Tylko dlatego, że to już raz czułem. Patrzę na tego człowieka. Obcego, a jednak przerażająco znajomego. To nie jest twarz. To mapa, którą już raz studiowałem w świetle policyjnych reflektorów. Jego pozycja. Jego rany. Kształt rozlanej krwi na podłodze lśni w słabym świetle, tworząc ślad, który nieodparcie przypomina coś, co już kiedyś widziałem.

Wyczuwam delikatny dotyk na karku. Jest chłodny, ale znajomy, tylko że... nikt mnie nie dotyka. Nie ma Deana. Nie ma Wandy. Żadnych masek. Nie ma już pokoju. Światło jest inne. Ciemniejsze. Twarze obce, a jednak znajome. Ciecz spływa w dół moich rąk, a krew wypełnia mnie, zostawiając swój ślad, który nie znika, nawet gdy przestaję ją widzieć.

Otwieram oczy. Pierwsze, co dostrzegam, to brudna, chora ciemność, która wydaje się zlewać z moimi myślami. Powoli zaczynam dostrzegać kształty. Dean, Wanda? Obecni.

– Zaczynasz sobie przypominać, prawda? – pyta Wanda, a jej głos

jest jak szum, jak echo w pustym pokoju. Niespiesznie, ale z jakąś dziwną, wyczuwalną satysfakcją.

Wstrzymuję oddech, starając się nie dać jej tej satysfakcji. Bo wiem, że to nie jest niepytanie. To stwierdzenie.

Chcę odpowiedzieć *nie*.

Chcę zaśmiać się z tego, bo to absurdalne.

Chcę, żeby to wszystko zgasło, jak poranna mgła.

Znowu to widzę. Ściana, zimna i szara, pokryta kurzem, który zdążył się wchłonąć w jej powierzchnię, wyciszając każdy dźwięk. Tafla szkła, która odbija mnie w jednym, rozmazanym lustrze. I tam... widzę twarz. Moją.

Tylko że to nie jest ta twarz, która patrzy na mnie teraz.

To twarz na podłodze.

Jestem tym, kto leży i tym, kto trzyma narzędzie.

Jestem tym, kto nie ma już nic, czego mógłby się złapać, nic, co by go utrzymało w tej rzeczywistości.

Wracam. Światła przygasają, na chwilę zawieszając czas.

To ten moment. Ucieczka. Wybiegamy z pokoju inspiracji. Wanda nawet nie próbuje nas zatrzymać. Wszystko staje się nierzeczywiste, jak scena, która nie ma końca, jak scenariusz, w którym zapomniałem tekstu. Zmieniamy kierunek, ale każde wejście prowadzi do tego samego. Kolejne drzwi. Korytarze się powtarzają. Ściany zdają się płynąć, niewyraźne, martwe.

Powinniśmy się zmęczyć. Powinniśmy wypluwać płuca, czuć kwas w mięśniach i ogłuszający łomot serca, ale nasze ciała są lekkie, pozbawione ciężaru, jakbyśmy byli tylko cieniami rzuconymi na ścianę przez zepsuty projektor.

Biegnę przed siebie, ale czuję się jak na zagubionej autostradzie **Lyncha**, w świetle reflektorów widzę tylko kolejne metry identycznego asfaltu, uciekając przed kimś, kim właśnie się staję.

Uciekamy od wieków, a korytarz pożera nasze kroki, nie oddając ani metra dystansu. Zamiast tego... wciąż jesteśmy w ruchu. Z każdą chwilą szybciej. Wciąż dalej. A wszystko wokół staje się bardziej zatar-te. Aż w końcu wbiegamy... do tego samego pokoju.

Wanda się nie ruszyła.

A ja... Ja mam pędzel w dłoni. Nie wiem, skąd. Nie wiem, jak. Nie wiem, w jaki sposób tu wróciłem.

Dean patrzy na mnie. Jego oczy szukają czegoś, czego sam nie potrafię dostrzec. Patrzę na pędzel w mojej dłoni. Nie pamiętam, bym go brał. Nie czuję nawet dotyku drewna, czuję tylko, jak trzonek zra-sta się z moją skórą, jakby wyrósł z moich palców w trakcie tego mo-mentu, który nazywam biegiem. Jest nieludzko lekki, ale jednocześnie ciągnie mnie w stronę fotela z siłą magnesu.

Śmiech Wandy przerywa ten dziwny stan, wyciągając mnie z za-mroczenia. Patrzy na mnie, po czym mówi:

– Każdy artysta kiedyś wraca do swojego dzieła...

Co ona powiedziała? Nie rozumiem.

Nie było żadnej ucieczki?

Oddycham ciężko, jakbym filtrował powietrze przez mokrą szma-tę, czując jej zimno i wilgoć, ale ciało... ciało nie jest zmęczone tak, jak powinno. Obok Dean dyszy, ale nie wygląda na kogoś, kto na-prawdę biegl.

**Czy my naprawdę biegliśmy?**

**Czy byłeś tuż obok, za naszymi plecami? Czy błądziłeś ra-  
zem z nami?**

**Widziałem cień twojej sylwetki, gdy mijaliśmy kolejne drzwi,  
słyszałem twój oddech, cichy, jakbyś bał się zrobić hałas.**

**Czasami myślałem, że cię zgubiłem, ale wtedy znowu czułem  
twoją obecność, tuż na granicy pola widzenia.**

**Może to ty szarpałeś klamki, gdy nasze ręce były zbyt ciężkie? Może to ty próbowałeś nam pokazać drogę, której nie chcieliśmy widzieć?**

**Byłeś tam, prawda? Widziałeś te same ściany, które wciąż wracały, te same korytarze, które nie miały końca.**

**Jeśli się myślę i cię tam nie było, to kto szepcze mi teraz do ucha, kiedy wszystko cichnie?**

**Odpowiedz, bo ja już nie wiem, czy to było naprawdę, czy tylko karmimy się nawzajem tą samą halucynacją. Może nasze stopy nigdy nie oderwały się od tej przekłętej posadzki.**

Patrzę na dłoń. Nie mam pędzla. Leży teraz na podłodze.

A może... zawsze tam leżał? Myśli spływają mi jak woda po szkle, zimne, bez głębi. Wszystko w mojej głowie mówi, że coś jest nie tak, ale nie potrafię tego uchwycić. Czy my w ogóle uciekaliśmy? A może tylko wydawało nam się, że mamy wybór? Nie będę się dłużej nad tym zastanawiał.

– Dean! Spieprzamy stąd!

Nie ma miejsca na wahanie. Dean rusza pierwszy.

Drzwi. Nie są zamknięte. Nie powinny być też otwarte. Jednak są.

Nie kwestionujemy tego. Nie teraz. Po prostu biegniemy. Ci mężczyźni... oni powinni nas ścigać. Powinien być śmiech, ale nic takiego się nie dzieje. Tylko cisza i ten cholerny korytarz, który zdaje się nie kończyć. Szarpane oddechy i ciężkie uderzenia butów odbijają się echem w powietrzu, a ściany miażdżą je, następnie wchłaniają.

Potykam się, a Dean chwyta mnie za nadgarstek, nie pozwalając mi upaść. Jego palce zaciskają się na mojej skórze jak stalowe szczęki, aż czuję puls każdego nerwu w jego dłoni. Nie puszcza.

Czuję pod stopami drewniane stopnie, ich ostre krawędzie wbijają się w moje stopy przez cienką podeszwę. To realny ból. Przynajmniej

on nie kłamie. Jeszcze kilka kroków. Jesteśmy przy wyjściu.

Dotykam klamki. I wtedy słyszę jej głos. Głos Wandy:

– *Howard*.

Zamieram. Nie odwracam się. Nie mogę. Dźwięk mojego imienia rozrywa mi bębenki. *Howard*. To słowo nie powinno tu istnieć. Powinno spłonąć, zanim opuściło jej usta, a jednak wisi w powietrzu, ciężkie i ostateczne. Jack Morgan właśnie umarł, a na jego trupie Wanda postawiła swoją pieczęć.

Jej głos jest spokojny, pozbawiony niepokoju. Nie brzmi jak groźba. Nie brzmi jak ostrzeżenie. Brzmi jak fakt, jak coś, czego nie da się odwrócić, jak coś, co jest nieuniknione.

Dean szarpie mnie za ramię, wyrywając z paraliżu. Jego uścisk jest tak mocny, że pewnie zostawi siniaki, ale teraz to jedyny dowód na to, że wciąż mam ciało.

– Rusz się, kurwa! – Jego krzyk przebija się przez echo głosu Wandy, ale ja wciąż czuję ten szept wewnątrz czaszki.

Przenika mnie spojrzenie, przeszywa moje plecy na wylot. Czuję, jak coś we mnie się przesuwą, jak układanka w mojej głowie zaczyna się rozpadać, niczym obraz, który zawsze był jasny, teraz jednak pęka na pół, rozsmazując się w nieznane. Z głębi mojej świadomości wylaniają się kolejne obrazy, które nie mają sensu, a jednak nie przestają powracać, jak echo dawnego życia.

I wtedy robię najgłupszą rzecz na świecie.

Wbrew wszystkim mitom i ostrzeżeniom, robię to, czego zakazano żonie **Lota** w **Sodomie**. Odwracam głowę. Nie zamieniam się jednak w słup soli, ale czuję, jak krzepnę. Legenda mówi, że kobieta, jak i całe miasto, została ukarana, bo żal jej było zostawiać to, co płonęło za jej plecami.

Ja nie czuję żalu. Ja czuję, jak rzeczywistość wygina się pod naporem tego jednego słowa, które Wanda rzuciła w moją stronę. *Howard*.

To imię jest jak kotwica przywiązana do moich płuc, niby lekkie, a jednak ciągnie mnie na dno, w głąb ciemności, z której tak desperacko próbowałem wypelznąć. Biblijna postać stała się martwym minerałem, bo nie potrafiła odciąć się od przeszłości. Ja robię to samo. Odwracając się, pozwalam, by Jack Morgan... ten starannie wypracowany konstrukt, ten człowiek z nową twarzą i czystą kartą, rozpadł się w pył. Zastygam, bo w świetle spojrzenia Wandy widzę, że ucieczka była tylko iluzją. Nie można uciec z płonącego miasta, jeśli to miasto nosi się w środku.

Stoję tam, między krzykiem Deana a spokojnym wyrokiem Wandy, i już rozumiem, dlaczego zakazano patrzenia wstecz. Tak naprawdę nigdy nie chodziło o gniew boga. Chodziło o to, że gdy raz zobaczysz prawdę, o której chciałeś zapomnieć, nie będziesz już mógł zrobić ani jednego kroku naprzód.

Wanda stoi na samej górze schodów. Jak? Skąd? Jej sylwetka wyłania się z mroku, będąc jej częścią, jakby sama ciemność ją stworzyła. Maską... Teraz ma uśmiech? Czy ona się teraz uśmiecha?

Może zawsze się uśmiechała? Ona musiała wiedzieć. Wiedziała od zawsze. Od pierwszego momentu.

O mnie.

O nas.

O czymś, czego nie pamiętam.

Dean szarpie mnie jeszcze raz, mocniej, z desperacją w oczach, nie mogąc znieść tej chwili, gdzie śmierć czai się za rogiem, gotowa pożreć wszystko, razem z nami.

Brak ochrony wydaje się wręcz nienaturalny, jakby budynek sam chciał się nas pozbyć. Drzwi ustępują bez najmniejszego oporu, niemal zachęcająco. To ten moment.

Wybiegamy w ponurą noc, która uderza w nas lodowatym powietrzem. Deszcz znowu wali jak opętany. Ciężkie krople bębnią o ziemię

z dziką furia. **Regan MacNeil** powróciła w pełnej okazałości: niebo wymiotuje potokami brudnej wody, a wiatr wyje tak, jakby zaraz miał wykręcić drzewa z korzeniami.

Nie zwalniam.

Gałęzie smagają mnie po twarzy, ostrymi, szorstkimi krawędziami.

Las jest gęsty, ciemny, żywy. Czuję, jak mokra ziemia ugina się pod stopami. Nie oglądam się. Nie wiem, czy ktoś nas goni, ale czuję, jak coś niepokojącego ściska moją klatkę piersiową.

Jeśli chcieli nas zatrzymać... czy nie zrobiliby tego już dawno?

Samochód.

Jeszcze trochę.

Jeszcze kilka kroków. Zbliżam się, czuję już metalową obojętność klamki, ale nie wciskam jej.

Słyszę głos.

– **Howard.**

On wstrząsa moim ciałem, przebijając moją skórę na wskroś, a jednak nie ma jej obok. Wanda nie musi krzyczeć. Jej szept jest jak wirus, który zainfekował moją krew. Myślę o tym, jak pewnie wymawia moje imię, jakby sama je stworzyła. Jakby Jack Morgan był tylko szkicem, który ona właśnie postanowiła wymazać z tego świata.

**A ty?**

**Czy miałeś kiedyś wrażenie, że wiesz, co się wydarzy?**

**Czy czujesz, że coś jest nie tak?**

**Że coś tutaj nie pasuje?**

**Ja już nie wiem.**

**A może ty znasz zakończenie tej historii?**

**Przecież to wszystko jest tylko historią... prawda?**

**A może to tylko kłamstwo, w które postanowiłeś uwierzyć.**

Odwracam się gwałtownie, ale jej tam nie ma. Tylko drzewa. Ciemność. I ten dźwięk, który brzmi jak oddech lasu. Wciąga powietrze pełne tajemnicy, jakby chciał coś powiedzieć, a jednak milczy. Sprawiając wrażenie, że coś tu jest, coś, czego nie widzę, ale to coś, co widzi mnie.

Dean szarpie mnie za ramię.

– Jedziemy! Teraz!

Nie protestuję. Nie patrzę więcej na drzewa. Nie słucham wiatru, który zdaje się stawać coraz bardziej natrętny. Coś we mnie nie pozwala mi o tym zapomnieć.

Silnik warczy cicho, nisko, niemal nieobecnie. Ruszam gwałtownie. Światła oświetlają drogę przez las, ale nie czuję, żeby coś się zmieniało. Patrzę w lusterko wsteczne. Tylko ciemność. Żadnych świateł samochodów. Wewnętrznie odczuwam, że to jeszcze nie jest koniec.

– To się nie trzyma kupy – rzuca Dean.

Może właśnie dlatego to ma sens. Bo się nie trzyma.

– Co sugerujesz? – Dyszę, zaciskając palce na kierownicy.

– Mało brakowało. Powinni byli nas zatrzymać.

– Wiem...

– Więc czemu tego nie zrobili?

Milczę. Boję się, to jasne, ale to nie tylko strach mnie blokuje. Po prostu nie mam odpowiedzi. Przerasta mnie to, co wydarzyło się tego wieczoru. Tak jak, ten cały pieprzony tydzień.

Nie potrafię nawet wskazać momentu, w którym wszystko zaczęło się sypać. Coś się zmieniało, krok po kroku. Moja głowa przypomina regał, na którym ktoś pomieszał autorów i tytuły. Zeskrobali ze mnie Jacka Morgana, by na tej samej skórze, tymi samymi eleganckimi literami, napisać Howardowi nowy, chory scenariusz. Patrzę na ten bałagan i nie wiem, czy wspomnienia, które trzymam pod czaszką, należą do mnie, czy zostały mi podbite pieczęcią **Lux Aeterna**. Nie wiem

już, co jest prawdziwe, a co mi się tylko wydaje. Rzeczy, które miały mieć sens, tracą go. Sprawa, zamiast się rozplątywać, tylko zaciska się wokół mnie, jak lina na gardle.

Wpadłem w sam środek mitu. Każda odpowiedź, którą z trudem wydzieram rzeczywistości, natychmiast odradza się jako dwa nowe pytania. To jak walka z **Hydrą lernejską**. Im mocniej tnę, tym bardziej jestem osaczony przez nowe niewiadome. Każdy trop, który miał być wyjściem, okazuje się ścianą. Chodzę po wodzie. Niby się poruszam, ale grunt dawno mi się urwał. Teraz jednak liczy się tylko jedno: *wrócić. Cały. Nie dać się pożreć tym odrastającym wątpliwościom.*

Wyjeżdżamy z lasu. Droga znów ma kreski, znaki, cywilizację. Zerkam w lusterko wsteczne, odbija tylko próżnię. Żadnych świateł, żadnej Wandy, żadnego Phelptoona. Tylko ścieżka wydeptana milczeniem, która prowadzi prosto w głąb mnie. Nie gonią nas, bo już nas mają. Jesteśmy jak owady uwięzione w żywicy. Ruszamy się, ale nasze przeznaczenie zastygło już dawno temu.

Zamykam oczy na sekundę, potem znowu zerkam.

Nadal nic. Tylko własny ruch, silnik i głuchy szum opon. Za nami ciemność, przed nami tylko asfalt. Droga nas prowadzi. Prosto, monotonnie, prawdziwie.

Nie wracamy do domu.

Wracamy do pytań, na które nie ma dobrej odpowiedzi.